

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 23 listopada 1952 r.

Nr 47 (381)



Wczesny ranek niedzieli na wsi 26 października 1952 r.

PIOTR CHMURA

Z KRONIKI WIELKIEGO DNIA

Grabowo, pow. Kościerzyna

N A wzgórek, skąd widać całą wieś i dawny dwór, drapał się stary Półbłocki Augustyn. Podpierając go Machnikowski. Co staremu przy niedzieli strzeliło do głowy? Ma 78 lat. Wyjeżdżał. Starzec jeszcze dyszał a już łaską robił w powietrzu półobrotów aż wycelował. Tak, nie myślał, w nowy dom Formellowej. Dosłyszeliśmy... Horn, po chwili... Węsierski. Ach, o tym wspomina? Formellowa przed laty wyrzuciła ze służby kulak niemiecki, Horn. Wójt Węsierski jedną tylko miał wówczas radę; możesz wstawić graty do Jasińskiego Fabiana. Jasiński też był kulak, stał mu jeden dom pusty. Do izby wniósł Formellowa graty, wtedy Jasiński zabił gwoździem drzwi a z futryny wyjął okno. Tym oknem wchodził — ona i dwie córki, 9 i 12-letnia. Babkę 80-letnią jak raz wtoczyli, to...

Stary Półbłocki wycelował teraz łaską na dwór. Słyszeliśmy jak Machnikowski, kiwając głową mówi — Leszczyński a stary Augustyn trzęsie przeczącą głową — Schnne, Schnne! — wola.

I to zrozumiałem. Lepsiński był właścicielem dworu. Po pierwszej wojnie zaczął się nazywać „Herr Leutnantem” a w 1940 r. nazywał się już von Schnne...

Machnikowski, chłop w siłę wieku, niegłupi, wyrobił go dzieci, syna na ma uniwersytecie w Krakowie, córka jedna maszynistką w Gdańsku, druga księgową w naszej spółdzielni produkcyjnej w Grabowie, on też spółdzielca. Myślałem, że Machnikowski będzie prowadził rozmowę. A tu nie. Stary Augustyn, stary Kaszub, wywołał go za wicę, na wzgórek i prawi, wciąż coś prawi, jakby mu przekazywał wieś i tę ziemię kaszubską aż po sam horyzont. Starzec w blasku różowejście na zachodzie nieba wydawał się podobny do proroka na obrazach kościelnych, podobny do naszych dawnych przodków Słowian.

Nie śmiałem drapać się na wzgórze. Czulem, że jest to chwila uroczysta, nie do zamącenia. Słuchałem więc z dołu. Dobiegły rwane wiatrem luźne słowa. Nie rozumiałem sensu, gdyby nie nazwiska.

— Jarka — Gustowski?... — drażni stary.

— No? — bas Machnikowskiego. — von Warsenburg, feldmar... A, to jeszcze z pierwszej wojny, feldmarszałek cesarza Wilhelma, sukinyś, z pochodzenia — polski obszarnik. O tym pewnie mówi stary Półbłocki.

— Lewiński?... — No?... — Mannstein... von Levin... — Zalewski?... — No?... — Bach von Zalewski!...

To o marszałkach Hitlera, jeszcze Blaskowicz, jeszcze Brauchitsch... wszystko „polscy” panowie. Stary Augustyn wskazuje teraz na cmentarz. Leżą tam rozstrzelani przez SS-manów chłopci Grabowa w większości formale i bezrolni. Takim był przed wojną Machnikowski. Leżą tam... Kaszubi — Rucowscy, Borzykowscy, Kiszka, Koraszewski, Węsierski... Mannsteinów — Lewińskich, Bachów-Zalewskich to dzieło. Jedno uderzenie w lud i naród. Zdrójcy, lisymnany! Na moment zapomniałem o tych na wzgórze, ale laska Augustyna poczęła krząć. Starzec przesunął lata, bo widzę, że laska teraz mierzy w co? W autobus, który okrąży właśnie wzgórze. Nie mieliśmy przed wojną żadnej komunikacji. Laska teraz celuje w Ośrodek Zdrowia, teraz w szkołę. Pełna, siedmioklasowa. Teraz obok — w przedszkole. Teraz... chyba w budynek, gdzie co tydzień grają film. Teraz punktuje dwa radiowozły. Ledwo dowidzę, bo się ściemnia. Już zapadł zmrok. Zniknęło wzgórze, zniknął stary Półbłocki i krzepki Machnikowski. Pewnie schodzą w dół. Nagle rozbiły światła i raz jeszcze ujrzałem laskę Augustyna, mierzyła w elektryczne światła, mierzyła w ich blasku aż poki nie wsparła się o lokal wyborczy, który jarzył się wieloma żarówkami, choć dawniej już zakończył się wybór i wiedzieliśmy, że w całym obwodzie

nie głosowało tylko 17 osób. Byli to

obłożnie chorzy. Ze wzgórze zsuwać się zaczęli dwa cienie. Teraz ja mogłbym wskazać kierunek. Kierunek na spółdzielnię produkcyjną.

✱

Koleczkowo, pow. Wejherów

P RZEZ okno naszej szkoły widzę, jak pod koniec dnia ustaje deszcz, jak wiatr od morza rozrywa ołowiane chmury, jak wdziera się czerwień zachodu a powyżej błękit czystego przestworza.

Wzdłuż tej czerwieni i błękitu idą z pola dziewczęta. Na pewno umazane, wracają bowiem z kartoflisk. Oj, uwziły się tej jesieni deszcze i siwizna szronów na ich młodość na ich zapal, ale czy jest siła zdolna zwyciężyć młodość? Nasza młodość? Wcześniej ukończono pracę, ostatnie furi nikną w obejściach. Wcześniej zapalono lampy. Wcześniej, niż w zwykłą sobotę. W mroku przybywa światło. To pochodnie, słychać werble, potem muzykę i śpiew. Młodzież urządziła pochod, ta młodzież lepiej nieraz rozumie nasze nowe życie...

Ale i starzy... Tego samego wieczora odbył się ostatni wiec przedwyborczy. Ambroży Grablewski sprawił mi wielką radość. — „Uważajta chłopcy — powiedział — robię początek. Dla uczczenia wyborów zobowiązuję się przepracować bezpłatnie dwa dni przy budowie naszej szkoły”.

Będziemy mieć w Koleczkowie nową, pomorską szkołę. Cóż, panie Darga z Bojana, chcecie zatrzymać bieg historii? Przeliczcie się, sromotnie przeliczcie, nawet co do kulaczek.

Rosinka Anna i Kopiczka Rozalia kazały sobie dziesięć razy tłumaczyć ale wreszcie pojęły, że im odwaga brak stawać z wami, panie Darga z Bojana. Na 1002 uprawnionych w naszym obwodzie do głosowania, oddało głos 988 osób. Trzech głosowało w innych obwodach, trzech wyjechało, sześć osób chorych i dwie — wy i wasza żona zbrojotawiliście wybory.

Porachujcie sobie raz jeszcze panie Darga z Bojana i zapamiętajcie na przyszłość, że kto w ul dmuchnie temu pysk spuchnie.

✱

pow. Iława

A GITOWALIŚMY, agitowali ale o babkach na śmierć zapomnieli. A to był nasz najzagorszy stronnik. Kiedyśmy do chat mazurskich wstępował staruszek siedział najdalej, pod ścianą, ciachł, jakby w modlitwie zatopione. Gwar rozmowy zdawał się zamierać u stóp ich fałdystych spodnic, złożone na kolanach, wychudłe, pomarszczone ręce spoczywały w błogim spokoju, na obliczu cisza zastęgała czasem bez miary.

No i nikt z nas nie poprosił: Babuniu, rzeczeć wy swoje słowo.

A one po naszym wyjściu mówiły

uroczyście:
Ojców mowo, co pieściła
Matka mnie w kotyśce toba,
Słuchaj na nowo, byś świeciła
nam światłością i ozdobą”.

Mówiły:

„Poki duch mazurski wieje

Niech blask jezior nam istnieje”.

O żywe matki naszych matek! 89 lat ma Emma Szer. Przyszła do lokalu wyborczego, w naszym obwodzie 159. Komisja się poruszyła, żeby trzymać, podparcie, potem odwołać. Ale staruszka odmówiła.

— Powiecie, że sił pozbawiona to i rozum niespełna. A ja będę żyła jeszcze 90 lat, bo przywrócony nam skarb nasz isty.

W głosowaniu nie wzięły udziału w naszym obwodzie dwie osoby, dwie kobiety. Ale one miały inne zadanie, wydawały na świat najdroższych im posłów.

Na punkcie skupu żywności plan za październik osiągnął 200%.

✱

Różana, pow. Braniewo

ZEBRANIE na wiosnę naszej Różana przeciągnęło się do późna. Mało wiele już brakowało do 6-jej rano. Noc była chłodna, orzeźwiła nas i znów wszczęły się pogawarki na drodze. Opowiadaliśmy sobie o posłach, których my znaliśmy, że to prawdziwi pracownicy a nie jakieś dziedzice albo milionery, jak dawniej. Jeden — przewodniczący naszej Rady Wojewódzkiej — to mamy gospodarza, drugi — młodziowiec, to z dziećmi będzie porządek, trzeci — rolnik, to nas opatrzy w maszynę i nawozy, czwarty — redaktor, nie znikniemy pod korcem maku.

Inni znów mówili, że teraz Polska nabierze siły i postąpi do jeszcze większej rozbudowy. Ktoś pytał, czy głosować na wszystkich kandydatów — czy chodzić za zastaną?

Ale mu odpowiedzieli. — A czy rząd ludowy krył się, czy jawnie przeprowadził Reformę Rolną i otwarcie dał ci gospodarstwo w pełnym biegu?

Tylko jeden wyrodek naszego społeczeństwa, Antoni Taronowicz, nie poszedł ze swą żoną do wyborów. Zamieszkiwał on od 1947 r. do wiosny b. roku w gm. Frambork. Kiedy zbierano podpisy pod Apel Sztokholmski nie podpisał. Była Pożyczka Narodowa, nie dał grosza. A Prezydium Powiatowej Rady na jego żądanie przeniosło go do gminy Pieniężne i masz diabli, do naszej wsi. I znów to samo robi. Łak wiosennych nie kosił, mało co sieje, teraz nie głosował a na każdym zebraniu zamknięcie wprowadza, bo stała ma co do gadania, choć od rzeczy.

Gospodarstwo zaś ma ładne, 11 ha, sporo łąk, sad na pół ha, z którego już by mógł opłacić podatek i jeszcze mieć dla siebie. A on marnuje i mać.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

LENIN W PORONINIE

(Fragmenty poematu)

I

Na razie żył tu. Miał mieszkanie, w Buńdowej chacie, w izbie z sienią. We wsi góralskiej Poroninie, daleko od swych w cudzej ziemi. Grani tatrzańskich tłum się ciżbił, wprost niskich okien jego izby.

Ludzie tu nieźli, chociaż biedni, jak się to mówi: boży łudek. Siedzą w chałupach z czarnych jodli, że mogli wyżyć, było cudem.

Jednacy ludzie w każdej stronie, gazdowie w cuchach i piórka. Biedacy w łachach poszarpanych. Twarze jak ziemia... wołowaci.

II

Wieczorem siadłszy przy kominku, gdy zmierzch szarawy od gór padał, czy było światło czy po ciemku, Lenin góralom opowiadał.

Ciekły więc słowa o ojczyźnie, co w trójkrozdarta, nieszczęśliwa. O ludzie, który w nędzy więźnie. Sami widziecie jak to bywa.

Dla jednych życie się uśmiecha, tłuściością cieknie, szczęściem, złotem. Ty biedny bracie z głodu zdychaj, w szczerym gdzieś polu lub pod płotem.

Czy tak być musi?... Kto powiedział? Słońce ma tylko carom świecić? Czy po wiek wieków n.a być przedział? w dole ubogi — w górze dziedzic?

Ludu tej ziemi tyś dziedzicem. Twoje są węgły i przyciesie. Krzywdzony wieki, sam wyszczesz, to co cię gnębi. W pył rozniesiesz wrogów...

W chałupie było cicho zaparli chłopci swe oddech. za ścianą w rzecę grało echo i z grapy księżyc zszedł z pośpiechem.

Wielkie się stanie krwi rozlanie, rozgwar wojennej słychać burzy. Lecz z krwi narodów Wolność wstanie i Przyszłość, którą śmie wywróżyć.

I padło słowo cichsze. Wobec przysłuchujących się górali. Jakby dalekie tony skrzypiec lejące od hał... Socjalizm!

Słowo to ma skrzypcową nutę, huk gromu, nurt głębokiej rzeki. Słowo co woła ludy jutrem. Hymnem jest czasów niedalekich.

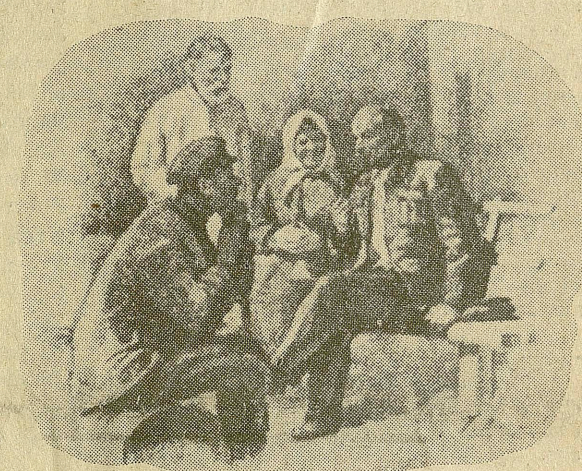
Przeszedł czas długi, przesył wojny, tysiącom ludów ojcem Lenin. Lecz nie brzmi bardziej to dostojnie, jak wtenczas wieczór w Poroninie.

Bo serce szczere, krwią swą pisze, czy jedno, czy ich miliony. „Na maszcie sztandar się kołysze, a kolor jego jest czerwony”.

III

Hej ma Lenin w swojej izbie gości, przyjechali tajemnie z daleka; drzwi do sieni otwarte na oścież, że ma kłopot gaździna narzeka.

Po stodolach pachnie siano świeże, z macierzanki, bratków, koniczyny. Gdy którego na sen twardy zbierze, zaśnie miękko nawet bez pierzyny.



Ciężka walka z wiekowym tyranem. Bez pardonu. Bój twardy, uparty. Zwołał Lenin tu do Poronina, towarzyszy. Trzon sławnej Partii.

Przyjechali z daleka. Przyjechał każdy. W izbie aże ciemno, lecz gwarno. Sieje Lenin iskry, jasne jak gwiazdy, aby płomień buchnął i świat ogarnął.

Płomień żarem historię wypisze i wypali nowych czasów fakty. Zjechał się wierni towarzysze, sławny Leninowski bojowy aktyw.

Lenin wódz, nauczyciel i człowiek, czas się walki ostatniej przybliża. Przyleciały orły o skrzydłach szerokich, loty lotów wysokich nie zniżą.

Z ludnych fabryk, kopalń, hut jarzących, ludzi głodnych do boju powioda. Towarzysze Lenina — żagwie płonące, sławnym będą przykładem narodom.

IV

Przyjechał ten najbliższy, najmilszy, o sokolim spojrzeniu towarzysz. Jasnym czynem jak płomień się pali, a wziął imię od hartownej stali.

Cały żywot swój młody, junaczy, oddał braci tej czarnoroboczej. Za nich z carem bój zaczął otwarty, najdzielniejszy towarzysz Partii.

Czoło w chmurach ma Kazbek wysoki, lotne orły z chmury rośną pija. Szumią, szumią wiatry o człowieku z hardym czołem, z nieugiętą szyją.

Umieję stary Gruzji synowie, za swą ziemię w bojach umierać. Nad Stalina większego — sama Gruzja powiedz, nie zrodziła nigdy bohatera.

Najdzielniejszy towarzysz Partii, najwierniejszy uczeń Lenina. Choć nierówne są siły z caratem, hardej szyi nigdy nie zgina.

Odgarnął chmurę z czoła Stalin, zakończył Lenin swoją mowę. Cisza w dolinie, śpi Poronin. Coś słychać? Idą czasy nowe.

Stanisław Nędza-Kubiniec

Maria Dąbrowska



W 40-LECIE PRACY PISARSKIEJ

JUBILEUSZ 40-lecia pracy pisarskiej Marii Dąbrowskiej jest wielkim świętem literatury polskiej. Oddając hołd zasługom czołowej pisarki współczesnej, widzimy w niej kontynuatorkę najpiękniejszych tradycji literatury narodowej, uosobienie żywej więzi z puszczą wielkich pisarzy przeszłości — Orzeszkowej i Żeromskiego. Maria Dąbrowska reprezentuje postępowy nurt literatury dwudziestolecia, który rozkładowi sztuki imperializmu przeciwstawił twórczą więź z tradycjami piśmiennictwa narodowego — program epickiego realizmu, oparty ideowo o góraczy humanitaryzm, protest przeciw krzywdzie człowieka, żarliwą troskę o przyszłość narodu.

Z bogatego i cennego dorobku pracy pisarskiej Marii Dąbrowskiej najdomośniej, trwałą wartość dla historii literatury polskiej posiadają „Ludzie stamtąd” oraz „Noc i dzień”. Zbiór opowiadań „Ludzie stamtąd” odsłonił w swej obiektywnej wymowie wysoki proletariatu folwarcznego, był przejawem humanitaryzmu, szacunku dla prostego człowieka. Wielki cykl powieściowy „Noc i dzień” to jeden z najpełniejszych w literaturze polskiej epickich obrazów wieloletnich przemian społecznych i ideowych, zachodzących w życiu polskim na przełomie XIX i XX wieku. Powieść Dąbrowskiej odsłoniła przenikliwe proces rozkładu obszarnictwa i krzepnięcia burżuazji polskiej, wskazała szereg istotnych rysów narastania sprzeczności społeczeństwa kapitalistycznego. Rzetelna i wnikliwa obserwacja rzeczywistości, bogactwo problemów życia, wielorakość artystycznie zobrazowanych jego form, niezwykle osiągnięcia w zakresie języka pisarskiego, sięgającego twórczo po doświadczenia języka ludu — to najcenniejsze elementy pisarskiego dorobku Marii Dąbrowskiej. Dzieła autorki „Nocy i dnia” upoważniają nas, współczesnych czytelników i miłośników jej wielkiej twórczości, do wysunięcia pod jej adresem postulatu, by nowymi utworami obrazującymi trud i wielkość naszych dni, wzbogaciła współczesną literaturę polską.

STANISŁAW MEDELSKI

POWIEŚĆ O DWÓCH CYWILIZACJACH

PODCZAS lektury powieści radzieckiego pisarza Tichona Siomuszki zatyłowanej „Alitet odchodzi w góry”*) nieodparcie przychodziły mi na myśl niektóre fragmenty „Listów Ameryki” Henryka Sienkiewicza. Były to te partie, w których Sienkiewicz ukazuje stosunek białych kolonizatorów do tubylczych plemion Indian. Sienkiewicz opisywał dół Indian z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, natomiast akcja powieści Siomuszki toczy się w pół wieku później i w dodatku przedmiotem jej jest życie pierwotnego ludu Czukczów. A jednak oddajmy na chwilę głos Sienkiewiczowi. Oto jak charakteryzuje on „apostolów” zachodniej cywilizacji: „Apostolowie, to najprzód kupcy, którzy szukają tubylców; dalej awanturnicy, którzy zacierają mu skórę z gwoździ; dalej traper, który przed wigwami poluje na bawoły dostarczające czerwonym politywom; wreszcie amerykański komisarz rządowy z papierem, na którym między innymi napisano: *Mane, tekel, fares!* dla całego plemienia”. Dalej notuje Sienkiewicz: „trudno jest zrozumieć, jakich granic dochodzi nienawiść i pogarda Amerykanów wobec Indian”. A rezultatem tej nienawiści i pogardy jest taki oto obraz ziem amerykańskich, skreślony przez Sienkiewicza: „Spojrząwszy naprzód, widzisz tylko szarą, nieskończoną równinę, a na niej krzywe krzysze. Jak ołiem dojrzyś — całe szeregi smutne, cementowane i nie więcej prócz tych krzysów, które zdają się być szlakiem, wiodącym w krainę śmierci lub mogiłekami na grobach wędrowników. Bo też i są nagrobkami; stoją one na mogiłkach pierwotnych dzieł tej ziemi. Gdzie tylko taki krzyż się pojawił, tam gina ludy, a wczorajsza wielka cizna zmienia się w gwar handlujących, kupujących, oszukujących i oszukiwanych”. Te fragmenty warto cytować, ponieważ powieść Siomuszki przypomina nam, że podjęliśmy on ten sam właśnie problem — kapitalistycznej „cywilizacji” ludów pierwotnych, naszkicowany w „Listach z podróży” młodego Sienkiewicza.

Cytaty z Sienkiewicza zasługują na uwagę także i z tego względu, że również w powieści Siomuszki mamy do czynienia z cywilizacją amerykańską. Bo trzeba wiedzieć, że wprawdzie półwysep Czukczów od dawien dawna należał do Rosji, ale carskie imperium nie interesowało się nim wcale, przy czym

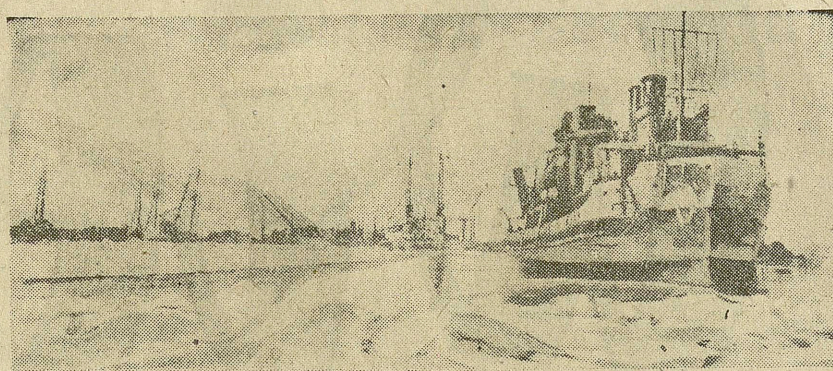
„wcale” należy rozumieć jak najbardziej dosłownie, gdyż półwysep oddzielał od kontynentu niedostępne góry; pozostawała więc tylko trudna i niebezpieczna okrzyna droga morską przez cieśninę Beringa i zamrażające morze Arktyczne. Nic zatem dziwnego, że tubylcy przez długi czas pozostawali sobie samymi. Nie znaczy to jednak, że półwysep Czukocki, ze względu na swe warunki geograficzne oddzielił od świata w ogóle. W lecie, przy sprzyjającej pogodzie, można się było doń dostać z pobliskiej Alaski przez cieśninę Beringa nawet na zwykłej barce. W takiej sytuacji bardziej przedsiębiorczy „apostolowie” amerykańskiej „cywilizacji” zaczęli przejawiać zainteresowanie sąsiadującym z Alaską półwyspem Czukczów. Zgodnie z tak świetnie przez Sienkiewicza podpatrzonym i zdemaskowanym „businessowym” charakterem amerykańskiej cywilizacji, na ziemi Czukczów przybyli najpierw kupcy.

Otóż pierwszy tom powieści Siomuszki jest niemal w całości poświęcony ukazaniu, jak nieludzka, ohydna w swym założeniu i realizacji była ta amerykańska, kupiecka pseudo — cywilizacja. Akcja powieści zaczyna się w roku 1922, a więc w piątym roku istnienia władzy radzieckiej w Rosji. Pierwotni Czukczowie żyją jednak tak jak przed laty. Nic się nie zmieniło tak-

że jeszcze w życiu przebywającego wśród nich od dwudziestu lat amerykańskiego kupca Thompsona, do którego tylko raz do roku zawija przemysłowy statek, przywożąc mu towary i stare gazety, a zabierając od niego futra lisów polarnych i kły morsów. Cóż mógł mistrz Thompsona obchodzić jakiś tam „bunt” robotników w odległej Rosji, skoro on był tu, na rozległych połaciach tego zakutego w lody kraju, jedynym przedstawicielem „cywilizowanego” świata, był właściwie niekoronowanym władcą pierwotnego ludu. Obchodził go tylko handel, bo dzięki niemu niestannie rosło w Stanach bankowe konto mistrza Thompsona. A handel był to osobiwy. Przemysłowcy dostarczali mu towary najtańszymi, a więc zleżała herbata i zwierzęta tytoniu, tandetne strzelby myśliwskie i oczywiście wódka, bez której nie sposób sobie wyobrazić amerykańskiej „cywilizacji”. Za te kupione za bezcen „towary” Thompson otrzymywał od Czukczów w drodze wymiany bardzo cenne i poszukiwane na amerykańskim rynku skórki polarnych lisów. Oczywiście podstawą kalkulacji handlowych kupca wobec tubylców były nie jego kapitały, lecz umiejętność wykorzystania niewiedzy i prymitywów bytowania Czukczów.

Pomyślna realizacja swego głównego założenia ideowego: ukazania rzeczywistej cywilizacji socjalizmu, zdemaskowania amerykańskiego „a-

postolstwa”, zawdzięcza autor przede wszystkim temu, iż potrafił zaplanować nad egzotykiem materiału literackiego, że nie dał się ponieść łatwemu i kuszącemu opisowi bezideowych ciekawostek i dziwactw, z jakich dla białego człowieka na pierwszy rzut oka zdawało się składać życie pierwotnych Czukczów. Czy znaczy to jednak, że powieść Siomuszki wyprana jest z barwnej specyfiki spraw związanych z codziennym bytowaniem ludu polarnych łowców? Nie podobnego. Powieść rysuje przed czytelnikami bogaty i wszechstronny obraz tubylczej kultury, obyczajowości i życia społecznego. Artystycznym sukcesem Siomuszki jest umiejętne podporządkowanie wszystkich egzotycznych właściwości czukockiego materiału literackiego realistycznej metodzie odtwarzania rzeczywistości w sztuce. Dzięki temu powieść ta jest dowodem, że ani egzotyka nie przeszkadza realizmowi, ani realizm nie unicestwia egzotyki. Jej autor nie zajmuje postawy jakiegokolwiek podrywania, kolekcjonera psychogeograficznych ciekawostek, postawy do znudzenia powtarzającej się w „egzotycznych powieściach” literatury burżuazyjnej. Siomuszka zajmuje jedynie szlachną pozycję głęboko humanistycznego szacunku i troski o wydobycie i zachowanie wszystkich wartościowych elementów w dziedzinie życia społecznego Czukczów. Taka właśnie postawa pisarska



Siomuszki pozwoliła mu na zasadnicze przeciwstawienie się owej pseudo — cywilizacji niesionej przez Amerykanów, która pod przykrywką swej rzekomej wyższości i doskonałości wnosi do pierwotnej kultury Czukczów nieznane tam dawniej pojęcia oszustwa, podstęp, zbrodni.

Siomuszki nie zadowolił się jednak jedynie krytyką metod „cywilizacyjnych”, stosowanych przez „apostolów” kapitalizmu. Znaczną część pierwszego i cały drugi tom powieści ukazuje bowiem proces wrastania pierwotnych Czukczów w socjalizm. W tych partiach powieści wielkim sukcesem ideowo-artystycznym Siomuszki jest ukazanie, iż nie było zasadniczych sprzeczności między tendencjami rozwojowym ludów polarnych myślowych a tym, co przynosiła im nowa socjalistyczna kultura i cywilizacja, torująca sobie drogę nie oszustwem i gwałtem, ale spokojną, rozważną perswazją, zaufaniem do inteligencji i mądrości tubylców oraz tym prawdziwie humanistycznym szacunkiem i troską o człowieka, jakie rewolucja socjalistyczna wprowadziła w życie, utrwalając go w formie równouprawnienia.

Charakterystyczne jest na przykład, że pierwszym widomym znakiem cywilizacji amerykańskiej było zapoczątkowanie wśród pierwotnej społeczności Czukczów ostrego rozwastwienia klasowego. Tytułowy bohater powieści, Alitet, dzięki temu, iż pośredniczy w kupieckich spekulacjach Thompsona wybijają się szybko ponad ogół myśliwych, których życie i egzystencja zależały tylko od łaski kapryśnego szlachcica na polowaniu. Alitet, dzięki temu, iż Amerykanin „zmopolizował” niejako w jego ręku pośrednictwo handlowe, uzależnia od siebie całą okolicę, stosując równocześnie nacisk ekonomiczny i religijny (ten ostatni za pomocą swego ojca szamana) i chociaż nikt go w gruncie rzeczy nie szanuje, bo wszyscy wiedzą, że to zły człowiek, każdy schodzi mu z drogi, bo tylko u niego można w zimie dostać trochę mięsa fok (on poluje na amerykańskiej szalupie, wszyscy inni na małych ze skór żytych kajakach), od niego zależy cena lisiej skóry. Największą chybą zaległa

ideowo — artystyczna tej partii powieści Siomuszki jest ukazanie, jak Alitet, wraz ze swojym z łaski swych amerykańskich „dobroczyńców” uprzywilejowanej pozycji klasowej, coraz bardziej podlega procesowi upodlenia. Rśia szluba u amerykańskiego kupca doprowadza go nie tylko do bezmyślnego malpowania stroju i sposobów bycia „białych”, ale uczy go także bezwzględnej łamania tych odwiecznych obyczajów swego ludu, które są mu niewygodne. Dalsza „ewolucja” prowadzi Aliteta do znieprawienia własnego ludu i ślepego kultu dla wszystkiego co amerykańskie.

Jakżeż inna była droga rozwoju uboższego Czuczka Aljego, którego Alitet najzłotniej upokorzył, pozbawiając go żony (oczywiście wbrew jej woli). Skierowany przez miejscowe władze radzieckie wyjeżdża na roczny pobyt do południowych i zachodnich części Związku Radzieckiego i wraca stamtąd jako wykwalifikowany kapitan rybactwa, aby przyswojenie sobie od ludzi radzieckich nowoczesne zdobycze techniki w zakresie rybactwa morskiego przekazać swym jeszcze prymitywnie żyjącym rodakom.

Siomuszki przekonywająco ukazał w swej powieści narodzin nowego życia, które na półwyspie Czukockim przyniosła władza radziecka. Dzisiaj Czukczowie to szczęśliwy naród wolnych ludzi, niezależnych już od łaski amerykańskich „apostolów”. Stalin, charakteryzując rozwój republik i krajów radzieckiego Wschodu podkreślił, że są one „wolne od ucisku imperialistycznego”, że „rozwijają się one i konsolidują jako narody nie pod egidą burżuazyjnego ustroju, lecz pod egidą Władzy Radzieckiej”. Tę właśnie specyficzną proces formowania się narodu Czukczów trafnie uchwycił i odzwierciedlił Siomuszka. W ten sposób powstała powieść o dwóch cywilizacjach, o dwóch drogach życia; powieść o cenie i mobilizacji. Rzadko, bardzo rzadko trafia się taki utwór, który czytelnik skończywszy czytać, otwiera z powrotem na pierwszej stronie i zaczyna od nowa... Powieść Siomuszki jest jednym z nich.

Stanisław Medelski

ALEKSY SURKOW

PODNIĘCIE GŁOS SWÓJ, UCZCIWI LUDZIE!

Nad lasem chłodny świt rozpostarła jak skrzydło pochmurna jesień. Parzy nas gniew stojąc w poprzek gardła i — mów! — do okrzyku rwie się. Czas, aby prąda gniewna i gorzka mówiła wreszcie do wszystkich. Niech w Paryżu, w Londynie, w New Yorku rozbylszą słowa — pociski. Jeszcze odległemu pole spoczywa, jeszcze lży wódw nie obeschły, a już ziemię napowrót okrywa wojny żalobny cień przeszły. Na złom trzęść pokojowych traktatów! W skrzyniach butwieją słów kopce. Znowu drapieżna dłoń potentatów sięga na mapie po obce. Z trybuny łgarze piętnują zabór i pokój słuźbią światu. To specjaliści z wojennych sztabów, co poszli na dyplomatów. Polubili pokoje z opalu, ciszę w poselskich pałacach, więc odbiera im sen na Uralu,

w Syberii i w Baku praca. Bomb atomowych cała wystawa, na składzie dość tego mają! Na wpół trupia podnosi się zjawia faszystów i samurajów. Lecz podlegacy zdra ocaennu czeka dziejowa porażka. Niedawnej wojny krwawiąca rana nakazuje utrzymać straż nam. W głębi kopaliś uranu nie starczy, by dziejów bieg przeinaczyć. Wyrok wolnych narodów obarczy zbrodniarzy i podlegaczy. Widzę już kres zgutowany katom, gdy pójda przed sąd ludzkości. Nie uratuje ich dolar czy atom, nie będzie dla nich lotosi. By nie ryknęły działa wśród żywych, przeciw knowaniom wraźm podnieś glos swój, ludzie uczciwi, zerwijcie maskę zbrodniarzy!

Przełożył Grzegorz Timofiejew

JANUSZ MACIEJEWSKI

„CZŁOWIEK ZAWSZE IDĄCY NA CZELE”

KŁESKA“ Aleksandra Fadijewa, opublikowana po raz pierwszy w r. 1927, należy do klasycznych utworów literatury radzieckiej, sięgających do tematów lat wojny domowej i interwencji, w historii realizmu socjalistycznego figuruje obok tak znakomitych dzieł jak „Czapajew” Furmanowa i „Żelazny potok” Serafimowicza. Obraz Wielkiej Rewolucji Październikowej i obraz walk toczonych w jej obronie przez długie lata wojny domowej i interwencji, to jeden z wielkich tematów literatury radzieckiej. Wciąż sięga ona do tego przełomowego czasu w dziejach ludzkości, do korzeni wielkich zwycięstw dzisiejszego dnia budowy komunizmu — do okresu, w którym wyzwolona została przepiękna siła rewolucyjna drzemająca w masach ludowych; do czasu, który w napięciu walki o wyzwolenie ustokrotnił siły i heroizm ludu, meśtwo i mądrość jego wodzów. Mobilizując siłę wielkiej historii rewolucji i jej obrony znakomicie określił Majakowski we wstępie do swego poematu „Dobrze”, opiewającego dni Października i dni budowy socjalizmu:

„Ja chce, byś tę książkę czytając był gotów
Z ciasnoty ścian czterech wyszedłszy
Iść znowu na plecach salw kulomiotów
Ze strofą wiejącą na wietrze.
Aby z tej księgi, dowodu szczęścia,
poprzez radosne oczy tryskało źródło w zmęczone
budującej, buntującej mocy”.

Taką też rolę spełnia znakomita powieść Fadijewa, która zrodziła się z osobistych doświadczeń autora, z głębokiego przeżycia czasów, kiedy: „Pełni młodzieńczych nadziei, z tomiakami Gorkiego i Niekrasowa w ucznioskich torni- strach weszliśmy w rewolucję. Był w nas patos walki o wolność, bo

nad Syberią i rosyjskim Dalekim Wschodem objął wtedy władzę admirał Kolkczak, a była to władza okrutniejsza jeszcze niż władza starego reżimu. Był w nas patos patriotyzmu, bo ziemię ojczyzny deptał podkutki but japońskiego najeźdźcy”. Ten porywający patos walki, który towarzyszył pięknej młodości Fadijewa, odnajdujemy także na kartach „Kłeski”.

Lato i jesień 1919 r. (czas akcji „Kłeski”) to najbardziej napięte miesiące wojny domowej. Kolkczak opanował całą Syberia. Na zachodzie dochodził już do Wołgi. Nę wschodzie, przeciw rozwijającemu się na tyłach „białych” ruchowi partyzanckiemu wezwał na pomoc interwentów japońskich, którzy zaczęli okupować radziecki Kraj Nadmorski. W tych ciężkich dla Republiki Rad chwilach Patria wezwała cały naród do obywatelskiej odwagi i poświęcenia. Na hasło „ojczyzna socjalistyczna w niebezpieczeństwie” wokół bolszewików skupili się wszyscy patrioci. Tysiące ochotników wyruszyło na front; zaciągnięto się do oddziałów partyzanckich. Kolkczak został odparty, a następnie zupełnie pobity; Syberia wyzwolona. „Kłeska” nie zawiera pełnego, wyczerpującego, epickiego obrazu tych zmagania. Opowiada ona o drobnym wycinku całości walki z Kolkczakiem i interwentami. Reprezentuje jej historia niewielkiego, 150-osobowego oddziału partyzanckiego, działającego na Dalekim Wschodzie, w okolicach Władywostoku, w rejonie pasma Udejskiego gór Sichoto-Alijskich i dolin rzek Irochedy i Chaunichedy. Jednak, dzięki odpowiedniemu doborowi i selekcji materiału powieściowego, uzyskujemy na przykładzie drobnej jednostki wojskowej odzwierciedlenie prawdziwego układu sił społecznych, biorących udział w wojnie domowej, otrzymujemy obraz typowy, mogący służyć jako ilustracja najdonioślejszych konfliktów tego okresu. Sam Fadijew przeżył i sformułował teoretyczne założenia swojego obrazu literackiego: „Pierwsza i zasadnicza myśl: pod- czas wojny domowej odbywa się selekcja materiału ludzkiego”. W myśl tego założenia skomponowana została cała powieść; jej głównym tematem jest właśnie proces przeobrażania się ludzkiej charakterów w krzywym ogniu zmagania z kontrewolucją. „Materiał” uczciwy, szczerze związany z rewolucją zostaje; chwiejni i niepewni

muszą odpasć. Takie jest prawo historii.

Ludzie, którzy stanęli w obrocie socjalistycznej ojczyzny, nie byli wykuci z jednej brzoły moralnej. Długoletnie destrukcyjne oddziaływanie ustroju kapitalistycznego pozostawiło na nich swe ślady w różnych skłonnościach i nawykach, we wzajemnym do siebie stosunku. Podstawy moralności komunistycznej, socjalistycznej stosunek do wspólnego dobra, wyrabiali się u nich w toku wojny domowej, w szeregach Armii Czerwonej. Prawdę że bez obłonek, bez miedlego lakiernictwa ukazuje Fadijew w swojej powieści (głównie Morozka, chłop Kubraka). Zdarzał się w Armii Czerwonej także element z natury obcy — różne odpryski starego świata, które w szereg oddziałów partyzanckich przyciągnęło awanturnictwo czy chęć zabytnięcia (Czyż). Wreszcie trafiali się ludzie za „drobnomieszczańskim, pseudo — humanistycznym frazesem” kryjący zdradę prawicy rewolucji (Mieczyk). Nad takimi jednostkami góruje jednak masa szczerze oddanych rewolucji robotników i chłopów; oddanych, co nie zawsze jeszcze oznacza, rzecz jasna, wychowanych w duchu komunistycznym (Morozka, kradnący melony, ale w potrzebie bohaterem oddający życie dla swych towarzyszy). Autor świadomie podkreśla czystość i prawosć charakteru takich ludzi; ludzi, którzy w ciężkiej chwili nigdy nie zawiodą — w przeciwnieństwie do Czyżów, czy mieczakowatych, stale gniebiących w swej „jaźni” Mieczyków. Siła zaś organizująca i uprawiająca w ruch te masy jest Partia — myśl i wola rewolucji, w powieści Fadijewa wcielona w piękną postać bolszewika Lewinsona.

Zwycięstwo w wojnie domowej bolszewicy zawdzięczał temu, że po stronie rewolucji opowiedział się cały lud pracujący, że poparli ją w swej masie także chłop-sredniak. Prawdę że obserwujemy na stronach książki Fadijewa. Wsie, przez które przechodzi oddział Lewinsona, sympatyzują z partyzantami (z wyjątkiem oczywiście jednostek: popów i kulaków). Widzimy, jak ludność wiejską ogarnia coraz potężniejszy gniew na interwentów: „Japończyk przedwczoraj właził do Sundugi, chłopcy z Czugaewki gadali... Ty, do diabła... — urwał z nienawiścią ostro machnąwszy ręką, jakby coś odrąbywał”.

Gniew ten wyraża się nie tylko w klątwach. Wszak partyzancki oddział Lewinsona składa się w większości z chłopów. Znajdujemy w nim zarówno reprezentantów średniaków np. Kubraka, jak i bezrolnego pastucha Mietielca, jednego z najpiękniejszych, całkowicie oddanych rewolucji postaci w książce. Powieść Fadijewa pokazuje przy tym inny jeszcze fakt: to, że istotną siłą kierowniczą w wojnie domowej stanowiła klasa robotnicza. Mimo przewagi elementu chłopskiego trzon oddziału „Kłeska” stanowi pluton Dubowa, złożony z górników z pobliskiej sużniańskiej kopalni węgla: „Jeden tylko Dubow zdołał tym razem rozlokować porządnie swój pluton w sąsiadujących ze sobą chatach. Jego ludzie pełnili warty przy uści i pomagali Lewinsonowi gromadzić zapasy żywności. Tego dnia właśnie stało się jakoś jasne to, co dawniej nikt w powszechnym podniostym nastroju i w jednakowym dla wszystkich dniu powszednim — to mianowicie, że cały oddział opiera się w gruncie rzeczy na plutonie Dubowa”.

W tak zróżnicowanym społeczeństwie ideowo środowiskowo Fadijew pokazał narodzin nowej świadomości człowieka radzieckiego. Literatura radziecka, obrazując spłatanie dzieje wojny domowej i walki z interwencją, ukazując wielką burzę historyczną, która przewalała się latami na terytorium Kraju Rad, umiała w chaosie walk i starć, zwycięstw i klęsk, w zamęcie losów milionów dostrzec zjawiska najistotniejsze, decydujące o sensie lat dla budowy przyszłości, o perspektywach dni jutrzejszych. Takim podstawowym zjawiskiem o niezwykłej doniosłości historycznej było właśnie obudzenie rewolucyjnej świadomości mas. Przekształcenie milionów ludzi płonących żywiołowym gniewem i nienawiścią do wyzyskiwaczy, ale też często przenikniętych beznadzieją rozpaczającą z okrutnych doświadczeń lat wojny, przekształcenie tych ludzi w żelazną, świadomą, zahartowaną gwardię rewolucji — to wielki temat literatury radzieckiej, obrazujący dzieje lat 1917 — 1921, najpełniej może zrealizowany w „Żelaznym potoku” Serafimowicza. Podjął go także Fadijew i szczególnie trafnie zobrazował w postaci partyzanta Morozki, który oddaje swe życie dla uratowania towarzyszy. W ostatniej chwili przed decyzją, która przy-

niesie ocalenie uratowanym resztkom oddziału partyzanckiego i śmierć bohaterstwu partyzantom, Morozka: „...wyrzucił się, że nigdy nie ujrzy zalanę stoncem wsi i tych bliskich, drogich ludzi, jadących za nim. Czuł jednak w sobie tak jasnąrozwagę tych zmęczonych, nie podejrzających niczego ludzi, którzy mu zawierzili, że nie zrodziła się w nim żadna myśl o jakimś innym wyjściu dla siebie prócz możliwości uprzedzenia ich o niebezpieczeństwie. Chwycił rewolwer i uniósłszy go wysoko nad głową, by lepiej było słyszeć, wystrzelił trzykrotnie tak jak było umówione...“ W tym mistrzowskim skrócie literackim ukazał Fadijew całe piękno duchowe człowieka, który zrodził się w ogniu rewolucji, wykształcił w sobie najpiękniejsze cechy ludzkie. Olbrzymią rolę w tym procesie odegrał Lewinson, uosabiający siłę partii komunistycznej, jej kierowniczą rolę wśród mas ludowych.

Lewinson — „człowiek zawsze idący na czele”, to jeden z najpiękniejszych bohaterów pozytywnych literatury radzieckiej. Lewinson jest w każdym calu ludzki. W oddziale panuje powszechne przekonanie o doskonałości Lewinsona jako dowódcy, o jego niesłychanej odwadze. Lewinson wie o tym i stara się przekonać do podtrzymania. Tymczasem za wspomnień jego samego wiemy, że nie było tak od początku: „W tym pierwszym okresie, kiedy zupełnie bez przygotowania wojskowego, nie umiając nawet strzelać, musiał dowodzić całą masą ludzi, czuł, że to w gruncie rzeczy nie on dowodzi, że sprawy idą własnym nurtem, niezależnie od niego, pomimo jego woli. Nie chodziło tu o to, że nie sumiennie spełnia swój obowiązek, nie, usiłował dać z siebie jak tylko mógł najwięcej... Szło o to, że w tym pierwszym, niedługim zresztą okresie swojej wojskowej działalności zużywał wszystkie niemal siły duchowe na to, aby zdusić w sobie i nie okazać ludziom strachu przed śmiercią, który, chcąc nie chcąc, odczuwał w czasie bitwy”. I później, kiedy stanie się już doświadczonym dowódcą nie przychodzi mu łatwo podejmowanie decyzji, decydujących o życiu i śmierci półtorej setki ludzi. Nie okazuje jednak tego przed partyzantami. Dla nich pozostaje zawsze doskonałym, nigdy nie wahającym się Lewinsonem. Tajemnica wielkości Lewinsona polega na tym, że

W stronę klasyki radzieckiej (VII)

autor wyposażał go w najbardziej ludzkie odczucia. Idea socjalizmu, wysoka, żarliwa partyjność stanowi główny element przepajający książkę. Dzięki jednoci światopoglądu i metody twórczej mógł Fadijew, ukazać rzeczywistość w jej dialektycznym, rewolucyjnym rozwoju, mógł ukazać zasadniczy układ istniejących sił klasowych, a jednocześnie dostrzeż to co nowe, rozwijające się. Znaną dewizę Lewinsona „umieć widzieć wszystko takim, jakim jest, aby to, co jest, zmieniać, zbliżyć to, co się rodzi i co być powinno” — można uznać za myśl przewodnią samego autora w jego praktyce twórczej; myśl, dzięki której mógł on wkroczyć na drogę realizmu socjalistycznego, mógł stworzyć tak wspaniałe kreacje bohaterów pozytywnych, jak Lewinson czy Mietelca lub Bakalanow.

Osobne zagadnienie, to sprawa optymizmu przenikającego książkę, mimo, że jej zakończenie bynajmniej nie jest szczęśliwe. Przykład „Kłeski” — tej „optymistycznej tragedii” czasów jest właśnie dobitnym dowodem, jak uproszczone jest łączenie postulatów optymizmu w realizmie socjalistycznym z tak zwanym „szczęśliwym zakończeniem” utworu. Optyzmizm „Kłeski” jest bowiem wynikiem, emanacją całości utworu. Bohaterowie powieści Fadijewa od początku wiedzą o ciężkiej sytuacji, w jakiej się znajdują. W ich myślach jednak nie wyczuwamy katastrofizmu. Przeniknięci są w całości aktywni, radosna wola wytrwania i zwycięstwa. I nie są w tym sami. Razem z nimi tak samo myśli i czują cały naród, tak myślą i czują chłopcy ze wsi, przez które przechodzą partyzanci. Jesteśmy świadkami ich wzburzającego gniewu na najeźdźcę. Wiemy, że tacy ludzie, mimo klęski jednego z oddziałów partyzanckich, zdolni są wydać dziesiątki nowych oddziałów. Obecnie im bowiem morale załamanie, silna zaś wola zwycięstwa. Wszystko to sprawia, że powieść, mimo klęski oddziału — bohatera utworu, niepełnia pewnością, że sprawa nie została przegrana, że jest ona niewyciężona. Dlatego słusznie badacze radzieckie porównują „Kłeska” z innym wielkim dziełem realizmu socjalistycznego, które podobnie kończy się przemijającą klęską, a faktycznie zwycięstwem sprawy — z „Matką” Gorkiego.

Janusz Maciejewski

*) Dotychczas opublikowane artykuły cyklu: R. Hladko, W terminie A. Tolstoj, nr 38; A. Bartoszewicz, Pozytywni bohaterowie „Czapajewa”, nr 39; I. Maciejewska, „Cement” — epopeja pracy socjalistycznej, nr 40; Z. Zabicki, W czołowiec pierwszej pięciolatki, nr 42; Z. Sikorska, Bohater naszych czasów, nr 46.

Jesień w Sieradzkim

STANISŁAW SIEKIEŃSKI

NA TROPACH PIONIERSKIEGO ZACIĄGU...

O przeszło, chyba godzinę toczy się interesująca dyskusja w powiatowym Zarządzie ZMP w Sieradzu na temat Zaciągu Pionierskiego. Interesująca, ponieważ z miejsca ujawniły się wyraźne różnice zdań, ba! — nawet sprzeczności.

Kolega Kempa, przewodniczący z gminy Złoczew spokojnie, lecz pewnie przekonywał, że dokonywanie zaciągu w jego terenie to czysty nonsens. Kogóż bowiem zaciągać? Cała młodzież w szkołach, SP,

Osobliwa sprzeczność. Z jednej strony cieszą się uczestnicy narażeni, że tak dobrze rozwija się ich młodzież, z drugiej mają wrażenie, jakby tworzyła się wokół nich jakaś pustka, bezлюдzie.

Wystąpienie kol. Wiesławy, instruktora z Zarządu Wojewódzkiego było zupełnie niespodziewane.

— Sieradz wypełni limit, poprzednim razem. Wypełni i teraz. Cenię Wasze sprawozdanie, wolę jednak przywrócić się rzeczywistości. Pojedźmy do Złoczewa, do kolegi Kempy, na to jego odludzie...

*

Śnieżnica szalała całą noc. Jeszcze rano następnego dnia dął silny wiatr. Autobus przebiegał się z trudem przez zasypane, liczyliśmy polane drzewa, powalone słupy telefonice. Dojechalśmy w końcu do Złoczewa.

Warto by w tym miejscu poprosić satyrę, by napisał w jaki sposób usiłował odnaleźć Gminną Komendę SP. Instruktor powiatowy twierdził uparcie, że mieści się ona w prywatnym sklepie, pod szyldem braci Kołodziejów. Uwierzyłem trudno, ale nie było innego wyjścia. Prawdę jego słów potwierdziła dziurka od klucza, przez którą zobaczyliśmy biurko, mnóstwo plakatów, tylko żywego człowieka nie było. Mogliby przynajmniej, zdjąć szyld po prywatnym sklepie. Komendant mignął nam przed oczyma, zobaczywszy jednak obcych zniknął jak przyszytowa kamfora.

Rozpoczęliśmy wstępne obliczenia, bez udziału SP. Sprawozdanie Gminnego Zarządu ZMP wykazywało, że interesujemy nas młodzieży w gminie nie ma. Połowa uczy się w szkołach, część przeniosła się na stałe do ośrodków przemysłowych i PGR-ów, część w SP i wojsku. Reszta przy rodzicach.

Lecz co to znaczy — przy rodzicach? Postanowiliśmy sobie na to pytanie odpowiedzieć. Kolega Kempa zmienił swoje zdanie, był raczej skłonny dokonać przeglądu rodzin, po prostu iść od chałupy do chałupy...

Poszliśmy do Szklanej Huty, brnąć po kostki w błocie, starając się początkowo chronić buty. Wokół ciągnęły się smutne pola, ni to zielone od ozimów, ni to białe od śniegu. Ustaliśmy, że odwiedzić dwu młodych ludzi — ZMP-owca i niezorganizowanego, ewentualnych kandydatów na Zaciąg Pionierski.

*

A oto i Stanisław Wdowik, członek ZMP. Dziurawe buty gumowe na nogach, uwijsa się energicznie

po podwórku, dwoje młodszych rodzeństwa stoi w progu domu i uważnie obserwuje pracę najstarszego z młodego pokolenia Wdowików.

Wychodzą i starzy, rozmowa idzie gładko. Wdowik słucha Kempy bardzo uważnie. Po chwili sytuacja jest jasna. Przewodniczący Zarządu Gminnego ZMP rumieni się lekko, kiedy Stasiek, a za nim starszy Wdowikowie stwierdzają, że nie o apeli do młodzieży nie słyszeli. Cóż, radia nie mają, ostatnio roboty w polu i z dostawami było wiele, do gazet prawie nie zaglądali. Wszyscy jednak słyszeli o tym, że ostatnio „gdzieś tam komuś” w kopalni połamano żebra, że „junaki pouciskały ze Śląska”, bo praca tam „nie do wytrzymywania”.

No i jak kolega Kempa, nie zrobiłoby roboty wy, zrobił ją wróg — nikt tego przewodniczącemu nie powiedział, ale sam tylko wyraz jego twarzy wskazywał, jak dalece przeżywa ową rozmowę z Wdowikami.

Wiesława pokazuje małej Jadzi książeczkę dla dzieci. Kolorowy górnik z białą kłosa na czapce oświeca jasno latarnią robotniczą. Kolonia mieszkaniowa. Nasza instruktorka znajduje w swojej przepaścistej teczce zawsze coś stosownego do sytuacji. Mała klaszka w rączki, tak bardzo cieszy się, że będzie miała brata górnik. Jej dziecienna radość wśród chmurnego dnia udziela się po trosze i nam.

Marian, drugi syn Wdowików także na swój sposób przeżywa decyzję brata. Będzie gospodarzył na 4 ha. Jakby świadomie schwył w ręce grabie słuchając wypowiedzi matki.

Wdowikowie nie dawali posłuchu „antygórnicy” propagandzie. Matka zna doskonale twarde i pracowite życie, jest raczej zadowolona, że syn nie będzie miał łatwych początków przy zdobywaniu zawodu. Przypomina rok 1940, kiedy to Niemcy urządzili w Szklanej Hucie poligon i wysiedlili wszystkich z okolicy. Jedyny kapitał jako Wdowikowie zabrali to własne dzieci, dwóch synów. Pracowali u kulałów, pieniądze znali jedynie z widzenia. Po wojnie rozpoczęli na nowo, od początku gospodarstwa.

— Chłopak to jest kapitał — wraca się ojciec — trzeba go dobrze ulokować. Niech będzie górnikiem, mnie się to zwróci, bo chłopak nas kocha i pomoże...

*

Na starym Galewiczu nie zrobiliśmy początkowo dobrego wrażenia. Najstarszy z nas nie liczy sobie nawet 25 lat. I o to Galewiczowi bardzo chodziło.

— Młodzi jesteście, ja wiem, że Bolek powinien iść do zawodu, ale co wy wiecie o kopalniach węgla?

I potoczyła się smutna owość o znajomych z dawnych lat, chłopskich wyrobnikach, tułaczach, którzy wiele w życiu przeszli fabryk i zawsze najgorzej wspominali kopalnie. Stary sypał przykładami, rzucał nazwiska żyjących i pomarłych od lat chłopów.

— Widzicie, tam pod ziemią najgorsza męczarnia, zle powietrze zadusi, woda zaleje, ludzie to przecie przeżyli, wiedzą co mówią. Możeby go dać gdzie indziej?

Z matki wylała się od razu cała macierzyńska kłótnia. Czy będzie miał gdzie dach nad głową, czy będzie ciepło, co tam dają na obiad, grunt to obiad, resztę się z domu dośle.

Nieoceniona koleżanka Wiesława Z jej chęcią bym powiedziała — magicznej teckii wyskoczyły na stół wcale mocne argumenty. Cała seria fotografii. Domki górnicze w Wałbrzychu, pod Gliwicami i Zabrzeżem, ich wnętrza, umywalnie, stołówki, biblioteki...

Spokojnym, łagodnym głosem wyjaśnia matce, co to jest Karta Górnicza. Mnie oddaje w ręce zdjęcia z pracy pod ziemią i wskazuje oczyma na ojca. Za chwilę dyskutujemy wszyscy nad węglowymi kombinatami, transporterami, mechanicznymi świadkami. Kempa opowiada o swoim spotkaniu z Bugdołem.

Zjawiają się i Wdowikowie. Oba chłopcy naradzają się na uboczu.

Zmierza tymczasem, trzeba wracać. Gmina Złoczewska wypełniła zobowiązanie, odpowiedziała na apel Zarządu Głównego ZMP.

*

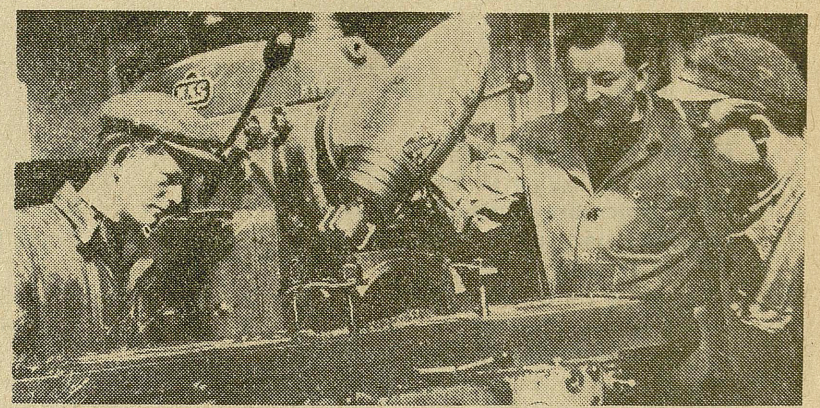
Muszę przyznać się, że nie zdawałem sobie sprawy z doniosłości wydarzeń w Szklanej Hucie. Refleksje przyszły w samochodzie. Szosa oczyszczona, chłopcy ze szkoły zawodowej, poznaję ich po czapkach, podnoszą obalone przez śnieżycę słupy. Pojawili się słoneczki.

Za pięć dni, dwóch młodych chłopców pojedzie do Bytomia, rozpocznie nowe życie. Cóż to oznacza? Węglowy, ciężki przemysł może liczyć na nowe, świeże kadry. Jasne, ale i jeszcze jedno. W wielu tysiącach naszych wsi istnieje wciąż jeszcze poważne rezerwy niewyżytkowanej, marnującej się, a przecież bezcennej siły produkcyjnej.

Powiedziałem to półgłosem, lecz odpowiadają mi kol. Kempa usiłując wyraźnie.

— To prawda, my powinniśmy tę siłę aktywizować.

Stanisław Siekierski



FELIKS KNAP

List do młodzieży

Znane są Wam zadania Planu 6-letniego. Znane są Wam z akcji przedwyborczej perspektywy przyszłości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przedstawiane w programie Frontu Narodowego.

Nie wierzę dlatego, abyście mogli obojętnie patrzeć na wyniki i osiągnięcia Waszych Kolegów już zatrudnionych w przemyśle metalowym, gdzie przez udział we współzawodnictwie i racjonalizatorstwie zdobyli dyplomy i odznaczenia, a przez udział w szkoleniu wewnątrz-zakładowym zdobyli kwalifikacje, które zapewniają im dobry zarobek i warunki utrzymania rodziny.

Wasze pozostawanie na wsi tłumaczy sobie brakiem uświadomienia Waszych rodziców, a często może ujemnym oddziaływaniem niektórych elementów kulackich, a z Waszej strony lękiem przed pracą, która dotąd jest Wam nieznana.

Znać dobrze życie wsi i rozumiejąc Wasz lęk przed powzięciem decyzji pójścia nową drogą, kiedy Wam nieraz brak wyrobienia społecznego i politycznego, pragnę w krótkich słowach zachęcić Was do masowego zaciągu pionierskiego w naszych Zakładach i zapewnić, że ja osobiście jak również Rada Zakładowa i Partia ułatwią Wam pierwsze kroki w Zakładzie Przemysłowym i pokierujemy Wami do zdobycia kwalifikacji i świadomości politycznej.

Trzeba Wam wiedzieć Droga Młodzieży, że w planowej gospodarce ludowej buduje się nowe Zakłady i rozbudowuje istniejące, specjalnie w terenach o glebie małourodzajnej, gdzie mała wydajność z hektara nie może wyżywić wszystkich członków Waszych rodzin. Tym powodowany Rząd Polski Ludowej zatwierdził rozbudowę naszych Zakładów w Kuźni Raciborskiej.

Znana Wam jest przecież niska wartość gleby po prawej stronie Odry, a specjalnie na naszym terenie gminy Kuźnia Raciborska.

Aby zapewnić Wam odpowiednie warunki bytowe budujemy Osiedle Robotnicze, przeznaczone dla pracowników pracy i robotników zamieszkujących poza Kuźnią, celem związania Was z naszym Zakładem Pracy.

Otworzyliśmy poza tym nowoczesne urządzone przedszkole, aby dać możność pracy społecznej lub zawodowej Waszym siostram i siołom.

Słyszeliście z pewnością z prasy, że jesteśmy Zakładem na całej Polsce znanym z zatrudnienia kobiet w zawodzie Ślusarskim. Nasze pracownice: Przykłęk Hildegarda i Franica Gertruda wyjechały jako instruktorki dla szkolenia kobiet w skrobnieniu powierzchni szlifierskich maszyn do Zakładów im. J. Stalina w Poznaniu i innych, gdzie uzyskały sobie uznanie i szacunek swoich koleżanek oraz spopularyzowały dobre imię naszego Zakładu.

Niech przykład ten będzie i dla Was dziewczęta wiejskie zachętą do pracy w przemyśle, gdzie macie zapewnioną opiekę lekarską i inne świadczenia socjalne, tak na wypadek choroby jak macierzyństwa. Dziś nie grozi Wam służba w jakiejś wybrednej pani, gdzie musiałbyście ulegać wszelkim jej grymasom w ustroju kapitalistycznym. Dziś stoi za Wami prawo zawarte w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wszystkie nasze hale fabryczne są budowane i urządzone z uwzględnieniem najnowocześniejszych wymogów bezpieczeństwa i higieny pracy.

Że młodzież męska i żeńska, widząc troskę Rządu o warunki bezpieczeństwa i higieny pracy, ciągnie do zawodów odlewniczych, gdzie mechanizacja czynności i transportu oraz właściwa wentylacja stwarzają warunki przyjemnej pracy.

Mam nadzieję Droga Młodzieży, że moje, włączając niniejszym listem nie pozostanie bez echa.

Stawajcie do pionierskiego zaciągu — do pracy na najtrudniejszych posterunkach przemysłu metalowego. Wielkie nadzieje pokłada w Was Partia i Władza Ludowa Uczynimy dla Was wszystko, aby praca będącą prawem, była przyjemną i dala Wam możliwości nauki i zdobywania kwalifikacji zawodowych oraz opanowywania nowoczesnej techniki. Nie zawyżajcie warunki te można dać od razu. Trzeba je w walce wykazać, dlatego czekamy na ludzi odważnych, którzy stając na przedzie będą torować drogę innym.

Jesteście współgospodarzami Kraju, pracujcie więc po gospodarstwu — uczcie się lepiej i wytrwalej w zdobywaniu zawodu.

Feliks Knap
Dyrektor Zakładów
Metalowych w Kuźni Raciborskiej

WŁADYSŁAW UDALSKI

WRÓBEL, KOSIOREK I KĘDZIORA

BĘDZIE nas dziesięciu, wszyscy akademicy i wszyscy synowie rodzkiego proletariatu, albo mało, innych chłopów z bliższych i dalszych gromad.

Pociąg dudni regularnie, mijamy wsie i miasteczka. Rozmowa toczy się głównie wokół naszego naczelnego zadania. Mówiący krótko — mamy obsłużyć kilka zebrań gromadzkich, pomóc w dalszym umocnieniu Frontu Narodowego mało i średniorolnych w walce o wykonanie dot. w. wykopki buraków, planowe zasiewy... Wsiadaliśmy w Łowiczu, a stamtąd w teren.

Niektórzy wspominają doświadczenia z okresu wyborczego. Mój sąsiad protestuje gwałtownie przeciw ułóżsamaniu tamtego etapu Frontu Narodowego z bieżącym.

— Powiadam ci — słyszmy replikę — zapytano mnie w Działoszyńcu na dot. Warty, czemu to brakuje chleba. Obecnie takie braki odczuwa okresowo i Łowicz. Zobaczymy co powiesz na miejscu, ale chyba nie to, że ten brak należy do okresu wyborczego...

Wybuchamy śmiechem, ale sprawa chleba poruszyła nas do głębi. Jakże go może brakować, co się za tym faktem, jeżeli jest prawdziwy, kryje?

*

W Łowiczu sprawa nie wyjaśniła się. Nasza koleżanka, pracująca tu od kilku tygodni wyjaśniła rzecz o tyle, że w dni targowe, kiedy to miasto wypełniają tysiące chłopów daje się odczuć brak chleba. No tak, ale tego być nie powinno.

Idziemy w listopadowy dzień rozmokłą, błotnistą drogą. Jest nas teraz sześciu. Przeprowadzamy się przez dziurawy most na Bzurze. Przed nami wąziutka ścieżka, na horyzoncie majaczą słabo widoczna wieś Przed Sierchowem dzielimy się na dwie trzyosobowe grupy. My do wspomnianej wsi, koledzy do Kęszyc. Na odchodem ostrzegamy nas młody kolejarz, miejscowy

dzielnik partyjny, przed Antonim Wróblem.

— Sprytny, jakich mało, biedotę psuje.

Nieufnie obejrzelśmy rozległe podwórko i solidne budynki gospodarskie Wróbla, które wychynęły przed nami już na skraj wsi. Oszczeni nas gwałtownie pies, zresztą żywej duszy nie widzieliśmy. Któż to taki ten Wróbel? Przypominam sobie gorączkowo wszystko, co mi opowiadali o nim w gminie. Ma 15 ha dobrej ziemi, dziewczynę służebną, zboże odstawił, podatek uregulował, ale mięso uważa za produkt niestrawny dla robotników, gdyż nie oddał ani jednego kilograma.

Za Wróblowym gospodarstwem ciągną się po obu stronach drogi biedne zagrody. Podwórka wąskie, stodoły oklapie w deszczu, ale bryska właśnie elektryczność, przymyślanie ułożonego tucznia każą się domyślać że niebawem droga będzie doprowadzona do porządku.

Dnie są teraz krótkie, czwarta za ledwie godzina a już mało co widać. Mamy jeszcze sporo czasu do zebrań. Ruszamy do chałupy. No i tak właśnie natrafiliśmy na Kosiorka. Już w gminie opowiadano nam, że to przodujący gospodarz. 500 kg żywności ponad plan odstawił! Zdumiały nas jednak dwa charakterystyczne szczegóły. Oto sam Kosiorek nazwał się przodownikiem gromady, a jego żona oświadczyła, kiedyśmy spytali jak tam po wyborach:

— A co mi tam wybory, desek na ziob nie ma, gwoździ nie ma, węgla nie ma, a teraz to i chleba nie można kupić...

Więc jednak znowu chleb...

*

Zagmatwana historia z tym Kosiorkiem, nie mogliśmy jej na oczekaniu rozwiązać. Z jednej strony przoduje w obowiązkach wobec naszego Państwa, z drugiej jego, a przede wszystkim Kosiorkowej świadomość polityczna, przeciwności się tej ofiarności. Ki diabeł?

Tak jakoś przywykliśmy do tego, że „obowiązkowy” chłop posiada duże wyrobienie polityczne; nie chciałoby się nam w głowie pomieścić, jak wielu „lakierujących” dziennikarzom, że może być jednak inaczej.

Pomyśliśmy się także co do samego Wróbla. Na zebraniu pojawił się nie krwiożerczy, opasły kulek, lecz skromny, w prostej robotniczej marynarce człowiek, odznaczający się ponadto słodkim, prawie melancholijnym spojrzeniem. Cała jego postawa zdawała się świad-



Foto CAF

czył tylko o tym, że najpewniej czuje się w domu pod opiekunym skrzydłem żony. Nie rozwił się też pośrednio sołtysowej izby jak na wroga klasowego przystało, przysiadł spokojnie na małym stołku przy drzwiach.

Nic nie zapowiadało początkowo tak burzliwego zebrania. Podczas przemówienia jednego z kolegów na temat żołnierzy i studentów kilku chłopów spokojnie zasnął. Wróbel uśmiechał się przyjaźnie, złożył nawet ręce do klaskania, gdy padały słowa o Froncie Narodowym, zaniepokoił się dopiero, kiedy nazwano go opornym w dosta-

wie żywności. Ale w dyskusji wstał i spokojnie oświadczył:

— Postaram się odstawić, oby watele Deszcze przeszkadzały, nie wymyśliłem zboża, a świnki bez ospy nie urosną nawet u kulaśka, bo się tylko tak zdaje, że jak u średniaka coś się nie urodzi, to u Wróbla musi być.

Ostatnie słowa wymawiał powoli, uśmiechając się do siebie. Był to jakby sygnał do dyskusji. Chłopi nie interesowali się sprawami politycznymi, nie mówili bezpośrednio o Froncie Narodowym, wysu-

wali natomiast bolączki gromadzkie i trudności. Najwięcej jednak pytkowali Kosiorka. On wysoki, o jednym oku zamglonym bielmem, buzał jak gruby trzmiel, ona szczupła i skrzekliwa nacierała:

— Tyla wszystkich mówiła, a gdzie węgiel, gdzie?

I to pytanie dominowało nad całą dyskusją, mimo iż mówiono o radiofonizacji, niesprawnym kółku gazet, drodze gromadzkiej, narzekano na brak nawozów.

Nasz kolega akademicki — uczeń szkoły podchorążych, próbował mówić o rozmachu budownictwa i rozwoju przemysłu, ale jego

słowa nie chwytali. Odnosiłem wrażenie, że sprawa węgla jest tu bardziej skomplikowana.

I rzeczywiście. Wstaje nagle dryblas, murowane dwa metry wzrostu. Widzimy wyraźnie zaniepokojenie Wróbla i nienawistne spojrzenie Kosiorków, którzy jeszcze przed chwilą rozdzielali szaty nad niewiedzięnością Polski Ludowej, która ich, patriotycznych chłopów tak po macoszu traktuje.

— A gdzie macie 20 metrów węgla za święnie ponadplanowe? Pytanie padło nieoczekiwanie, wszyscy się zdumiali jego prostotą i oczywistością. Przecież istotnie Kosiorki musieli dostać węgiel i cała gromada wiedziała, że tak było. Lecz traktowano to jako prywatną sprawę „patriotów”. Niespodziewane pytanie stawiało całą tę historię w nowym świetle.

Kosiorek zgłupiał, nie rzekł tedy nic, ale ona wybuchnęła gwałtownie:

— To za tę ofiarnościę we Froncie Narodowym, moja rzecz. Koń jak jest mały, to go pogłaszcza, podrośnię — oprzągają, a kiedy ciągnąć zaczyna — to go batem po tyłkach. Tak z nami chcą zrobić, bo ciągniemy gromadę w górę.

Wybieg zrzeczny, chłopak się jednak nie stropił. I nikt nie przypuszczał, że ten s'razak z fabryki w Pruszkowie także hołduje porównaniom z zakresu inwentarza żywego.

— Koń póki mały to i brykać i popieścić się lubi, a duży kopnąć patrzy! Wyście Wróblowe świnię pod swoim nazwiskiem sprzedali, pieniądze po części sobie, węgiel kulaśkowi, a władze ludowa kopiecie.

Powiało sensacyjną ciszą. Tylko w sieni rozległo się gwizdanie — to Wróbel wyleciał, pozostał po nim próżny stołek.

— Sprzedawaliście Wróblowe świnię, to znaczy się — razem o kradaliście Państwo. Kulak świnię chlebem pasł, tym co go w Łowiczu kupić nie możecie! Biedniaki a kulackie pomagacie!

S'razak Kędzior spokojnie, metodycznie wyjaśniał całą sprawę za-

słowa nie chwytali. Odnosiłem wrażenie, że sprawa węgla jest tu bardziej skomplikowana.

I rzeczywiście. Wstaje nagle dryblas, murowane dwa metry wzrostu. Widzimy wyraźnie zaniepokojenie Wróbla i nienawistne spojrzenie Kosiorków, którzy jeszcze przed chwilą rozdzielali szaty nad niewiedzięnością Polski Ludowej, która ich, patriotycznych chłopów tak po macoszu traktuje.

— A gdzie macie 20 metrów węgla za święnie ponadplanowe? Pytanie padło nieoczekiwanie, wszyscy się zdumiali jego prostotą i oczywistością. Przecież istotnie Kosiorki musieli dostać węgiel i cała gromada wiedziała, że tak było. Lecz traktowano to jako prywatną sprawę „patriotów”. Niespodziewane pytanie stawiało całą tę historię w nowym świetle.

Kosiorek zgłupiał, nie rzekł tedy nic, ale ona wybuchnęła gwałtownie:

— To za tę ofiarnościę we Froncie Narodowym, moja rzecz. Koń jak jest mały, to go pogłaszcza, podrośnię — oprzągają, a kiedy ciągnąć zaczyna — to go batem po tyłkach. Tak z nami chcą zrobić, bo ciągniemy gromadę w górę.

Wybieg zrzeczny, chłopak się jednak nie stropił. I nikt nie przypuszczał, że ten s'razak z fabryki w Pruszkowie także hołduje porównaniom z zakresu inwentarza żywego.

— Koń póki mały to i brykać i popieścić się lubi, a duży kopnąć patrzy! Wyście Wróblowe świnię pod swoim nazwiskiem sprzedali, pieniądze po części sobie, węgiel kulaśkowi, a władze ludowa kopiecie.

Powiało sensacyjną ciszą. Tylko w sieni rozległo się gwizdanie — to Wróbel wyleciał, pozostał po nim próżny stołek.

— Sprzedawaliście Wróblowe świnię, to znaczy się — razem o kradaliście Państwo. Kulak świnię chlebem pasł, tym co go w Łowiczu kupić nie możecie! Biedniaki a kulackie pomagacie!

S'razak Kędzior spokojnie, metodycznie wyjaśniał całą sprawę za-

skoczonym nieco chłopom. Rachunek wypadł prosto Wróbel ani kila nie odstawił, poleciał za to na sprzedaż pod nazwiskiem Kosiorka, dostał lepszą cenę, otręby i węgiel. Ludzie chleba nie mogą w niektórych d'zi kupić, a tacy nocami go wsiach rozwożą dla świni i rozprowadzają, że go wyborach chleba nie będzie.

— A to cholera — wyrwało się komuś...

No i — jak sami widzicie — wszystko się wyjaśniło. Traf jeszcze chciał, chyba dla zaokrąglenia naszej opowieści — sołtys zaprowadził nas na nocleg do rodziny strażaka Kędziorów. Starzy przyjeźli, czym chata bogata, a z Bolkim przegadaliśmy prawie całą noc.

Doprawdy nie wiem w jaki sposób to opisać, gdyż jakby nie próbować zawsze wychodzi na piękną, wzruszającą, miłosną historię. Wiemy już — pracuje w Pruszkowie, dokąd jeździ pociągami. Lubiano go we wsi ale ośdak począł „chodź” ze Śląska, zafocana część wsi przeważała go „bolszewikiem”.

— A ja rzeczywiście wczoraj wstąpiłem do Partii, dosłownie wczoraj Koledzy — mówi to miękko i ciepło. Ściskamy mu kolejno dłoń.

O Kosiorkowych i Wróblowych sprawach powiedziała nam właśnie Stefka, dziewczyna służebna kulaśka. Chce się z nią żenić. Starzy jeszcze nie przekonani, ale to się zrobi. Dziewczyna dobra, sierota, bez nikogo na świecie. Wróbel kuzynką ją tytułuje, ale to nieprawda. Czyny tak dlatego, żeby go nie posadzono o to, że trzyma służbę.

— To drań, co krew wypije, a dziury przy tym nie robi.

I to już chyba wszystko. Może jeszcze jedno, wspomniany przeze mnie na początku młody aktywista kolejarz, doniósł nam niedawno, że w Łowiczu nie ma kłopotów z chlebem. Przepatrzone kulackie metody trzeźnia świni.

Władysław Udalski

KARLO KALADZE

NOC NAD KOLCHIDĄ

Kto tu w dziwne jakieś lato
Pierworodny ogień skrzeszał,
Przebijając skłą skrzydlatą
Noc drzemiącą na bezkresach?
Kto na czołnie tu zapłynął
W tę mgłę zbłątą i zgęstniałą
I wbił strzałę w przestrzeń siną
I poraził ptactwo strzałą?

Imię swoje rozesłał,
Pamięć o nim czas zapłodni.
Z gwiazd wysnuł: Tu zostawił
Ślad swój wielki Łowca Ogni.
I u góry nad konarem,
W jasnym niebie łni widomie
Pałający strasznym żarem
Wykradziony przezeń płomień.

Mknij z prądem w zmierzch ponury
W czołnie, w dal, po wodnym szlaku —
Trzech rolników, trzy kontury —
Trzech przedziwnych zawiadaków.
Cel nas łączy, wiatr i chmury,
Ściana dębów, smugi krzaków.
Mkną wzdłuż Rionu trzy kontury —
Trzech przedziwnych zawiadaków.

Czy dąbrowa tak oddycha,
Czy mgła, którą zmierzch nasunął?
Czy to wiatr kołysze z cicha
Legendarne złote runo?

Sennie, smutno, tajemniczo,
Drży wyblakły cień zieleni,
Rzekłbyś jakąś mgłą zwodniczą
Osnuł brzeg korowód cieni.

W kraj, co wielkich zmian doczekał,
W kraj wydarty dziś spod błota,
Wiedzie nas żeglowna rzeka,
Łni w jej nurtach luna złota.
Tej antycznej luno śladem
Kolchozowym wioskom sławnym
Przywiozimy dziś rozsądę
Na czołniku starodawnym.

Drzemią stare opowieści
W haszczach, które drgną o świcie.
Gdy wiatr ciepły zaszeleści,
Krzyk bażanta posłyszycie
Już w dąbrowie śpi zielonej
Jak w kołysce luna cicha.
W takiej ściółce utulonej
Jakże lekko jest oddychać.

Plug nasz podbił dziś Kolchidę.
A nie loskot mieczów licznych
Start ból wieków i ohydę
Z moich krain archaicznych.
W jasną przyszłość zapatrzoną
— Los mu dał śpiżowe życie —
Wódz, co wyrósł tu nad Rionem
Poprowadził nas do zwycięstw.

KAZIMIERZ LISOWSKI

PÓLNOC

Rozkochałem się w nazwach tamtych rzek:
Judykon, Uczami, Koczumdek,

Kananda, Wiwi i Wojewoli,
A nad nimi wzgorza, tąja w śniegach.
Ileż siły i niezłomnej woli
W ich kamiennych i pochmurnych brzegach.

Serce moje na zawsze podbiły
Błyski ognisk wzdłuż stanic dalekich
I tamtejsi ludzie słynni z siły —
Jak rodzeni bracia wartkiej rzeki.

GEWOREK EMIN

ARCHITEKCI

Ty kochasz twory odległych stuleci,
Ja również żywię dla przeszłości cześć.
Niegdyś natchnienie braли z niej poeci,
Ja innym bóstwom poświęciłem pieśń.

O starych mistrzach nie powiem nic złego,
Lecz naszej sztuki natchnienie i blask
Stąd, że na cichych ruinach dawnego
Wspaniałe dzieła kształtuje nasz czas.

Gdyby tak przodków ogień ogarnęła
Wyłączna miłość do minionych lat,
Ktoby z nich stworzył owe arcydzieła,
Na które wzrok twój rozkochany padł?



TADEUSZ ORLEWICZ

NARODY

O D Władystoku do Moskwy pociąg musi przebyć taką odległość, jaka dziełi równik od bieguna Kiedy na zachodniej granicy ZSRR bije południe, na cyplu Dzierżniew w cieśninie Beringa jest już późny wieczór. Zegar wydawania godzinie dziesiąta. Na południowych granicach Kraju Rad rośnie palma daktylowa która „lubi aby jej głowa była w płomieniach”, jak powiadają ludy arabskie. A na północy ciągnie się kraj wiecznych lodów i głębokiej zmarzliny.

Przeszło 60 narodów, grup narodowych i narodowości zamieszkuje większą część Kraju Rad. Narody wielkie i małe liczebnie, Narody i plemiona, Rosjanie i Baszkirzy, Ukraińcy i Tatarzy, Litwini i Jakuci, Gruzini i Nanajcy.

W kraju mym wszystkie dziś narody spolem
Wielbią ojczyznę pracą swą i czynem —
I lasy rosną tu, gdzie piaski gołe,
Stepem bezwodnym wartkie rzeki płyną.
Z cynu zrodzone w oczach naszych wstają
Nowe budowle — jutra cud
Styszysz? — nad światem pontosa się falą
Dniepru i Wolgi Kara-Kumów chwala.

Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa rozbiła kraty więzień, za którymi jeżały narody i ludy carskiej Rosji. Przyniosła im — słonce socjalizmu, w którym stopniały mroki stuleci, a Uzbek i Jakut, Kazach i Nanajcy z człowieka nieomal epoki kamienia krzesanego wyrósł w przodującego, kulturalnego, świadomego bojownika, współtwórcę wielkości i szczęścia ojczyzny radzieckiej.

„Ludzie radziecy — mówił Stalin, w roku 1948 — uważają, że każdy naród — wszystko jedno: wielki czy mały — posiada swoje jakościowe właściwości szczególne, swoją specyfikę, która należy tylko do niego i której nie mają inne narody. Właściwości te stanowią właśnie wkład, który każdy naród wnosi do wspólnej skarbnicy kultury światowej i uzupełnia ją. W tym sensie wszystkie narody i wielkie i małe — znajdują się w jednakowej sytuacji i każdy naród jest równoznaczny wszelkiemu innemu narodowi”.

Słowa te najdobitniej potwierdza 35 lat wspólnej pracy i walki przeszło 60 narodów, grup narodowych i narodowości w ramach jednego socjalistycznego państwa związkowego.

„Po zlikwidowaniu burżuazji z jej partiami nacjonalistycznymi — mówił Beria na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — i po utrwaleniu się ustroju radzieckiego w naszym kraju powstały, rozwinęły się i ukształtowały na bazie dawnych narodów burżuazyjnych nowe narody socjalistyczne”. Obecnie już nie ma u nas narodów zaoścanych. W latach budownictwa socjalistycznego nowe, socjalistyczne narody w naszym kraju zmieniły gruntownie swe oblicze i stały się przodującymi, nowoczesnymi narodami”.

W tym samym okresie, gdy robotnicy Rosji i Ukrainy mieli w fabrykach do czynienia z nowoczesnymi maszynami, na dalekiej Północy — jak i straża, krzesiwo i kamienie były w powszechnym użyciu.

Gdy w rolnictwie rosyjskim i ukraińskim używano pługów żelaznych, a w majątkach obszarniczych pojawiały się wielkie maszyny rolnicze, w dalekim Uzbekistanie królowała drewniana socha, a nad Amurem czy na głębokim wschodzie Syberii kij grzebalny, sekaty kawałki drewna był jedynym środkiem uprawy ziemi.

Obok wspaniałej kultury narodu Puszkinia i Gogola, Tolstoj i Czechowa żyły ludy, które nie miały własnego piśmiennictwa. Obok kapitalizmu — wszystkie nieomal formy ustrojów społecznych ze wspólnotą pierwotną i azjatyckim feudalizmem.

W zaoścaniu, nędzy, ciemnocie rządu caratu widziały skuteczny instrument ujarzmania narodów, pogłębienia wyzysku.

„Naród mój — mówi twórca buriaćko-mongolskiej literatury narodowej, Chocza Namsarajew — był skazany na wymarcie. Głód i straszliwe choroby dziesiątkowały ludzi. Tylko bogactwom świeciło słońce. Do nich należały stada i państwa, oni byli panami naszych miśni i naszego życia”.

„Jeszcze niedawno podczas panowania bojarów rumuńskich i ich mocodawców — imperialistów amerykańskich i anglo-francuskich — mówił Breżniew na XIX Zjeździe KPZR — Besarabia była spustoszone krajem, w którym panował reżim kolonialny i stosunki feudalne... Znanymi pisarz francuski i rewolucjonista, Henri Barbusse, który zwiędził w owych latach Besarabię, pisał w swej książce „Oprawcy”, że okupacja otworzyła dla Besarabii erę cierpienia i nędzy. To

wszystko co widział w Besarabii, nazwał tragedią besarabską”.

Trzeba było odrobić zaościanie wielu wieków. Trzeba było z epoki kamienia głodzonego dźwignąć wiele plemion do epoki socjalizmu. Trzeba było cały kraj przekształcić, przebudować, zbudować jasny, dostatni nowoczesny dom dla wszystkich narodów, ludów i plemion Kraju Rad i dla tych, które zniszczył kapitalizm i dla tych, które dregowały wieków tkwiły w nocy zaościania z dala od wielkich szlaków historii.

I oto „Partia Komunistyczna i kład Związku Radzieckiego, realizując konsekwentnie leninowsko-stalinowską politykę narodowościową, zapewniły — obok wysokiego rozwoju całej gospodarki narodowej ZSRR — szybszy rozwój zaoścanych ekonomicznie republik narodowych. W rezultacie zlikwidowano otrzymaną w spuściznie po caracie nierówność gospodarczą i kulturalną między narodami ZSRR, co niewątpliwie jest jednym z najpoważniejszych osiągnięć narodowościowej polityki władzy radzieckiej”.

Bo jak mówi pieśń radziecka i jak mówią miliony ludzi na całym świecie:

„Jedna taka partia jest na świecie,
Co przyspiesza naszych dzieł bieg.
Ludzie każde jej dziesięciolecie
Uważają za pamiętny wiek.”

W ciągu 35 lat Kraj Rad zwiększył swoją produkcję przemysłową 30-krotnie. Aby tak podnieść swoją produkcję, Anglia potrzebowała 162 lat i to w okresie najkorzystniejszego dla jej rozwoju. Francja w ciągu 90 lat ostatnich zdołała zwiększyć swoją produkcję 5,5 razy. A Stany Zjednoczone w ciągu ostatnich 35 lat zaledwie 2,6 razy.

Co to znaczy? To znaczy, że ZSRR nie tylko dogonił ale i przegonił na wielu odcinkach imperialistyczne kraje świata. To znaczy, że w ciągu 35 lat został odrobion i nadrobiony zaległości historii. To oznacza bezwzględna wyższość ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym w ogóle, a w jego monopolistycznym stadium w szczególności.

Oznacza to nieprzerwane, najwyższe ze znanych dotąd tempo rozwoju.

„My dziś oblicze zmieniamy ziemi,
My martwych pustyń, śniegów panowanie,
Tu, na północy przyodziamy chcemy
Dziewczęta w barwne jedwabie nowe” —

pisze Mikoja Kocakow, poeta narodu meryjskiego, który przed rewolucją nie posiadał ani jednej szkoły ogólnokształcącej, ani jednego podręcznika w języku ojczystym.

„Wieki toczyła się cała
Daremnie woda ze skał
I nic nikomu nie dały
Mocą potężnych jej fal,
Ale przyrody żywiołom
I nurtom burzliwych wód,
Parti uolą ujarzmiomym,
Służąc sobie kazał lud” —

śpiewa Gamzat Cadasa, poeta Dagestanu.

Podczas gdy w krajach, opóźnionych przez imperializm, szowinizm nacjonalistyczny — ów brat zdrady narodowej zbiera z dyskryminacji rasowej ponure żniwo, w Kraju Rad wzajemny szacunek i współpraca narodów otwiera przed ludźmi radzieckimi epokę komunizmu.

Oto dwie linie rozwoju, które odcinają obecny ogólny obraz światowej sytuacji. Jedna — nieustannego rozwoju. Druga — upadku. Jedna — wojny i grabieży. Druga — pokój i socjalizm.

W imperializmie „Stany Zjednoczone — jak mówił Malenkow — są na tyle — mówiąc łagodnie — pozbawione skromności, że podają się za szczytowej przysięgi tacy krajów (Anglii, Francji i innych krajów kapitalistycznych). Dobry przyjaciel! Dosiadł swych młodszych partnerów, ograbiła ich i ujarzmiła, smaga, gdzie popadnie i na dobitkę dogaduje: „bądźmy przyjaciółmi”, co w języku amerykańskich potentatów finansowych oznacza — „najpierw ty mnie powieziesz, a później ja na tobie pojadę”.

W imperializmie Wall Street i jej lokaje strzegą „wolności”, ale „nie wolności dla ludu, lecz wolności wyzysku i ograbiania ludu. Jeżeli natomiast chodzi o ZSRR i kraje demokracji ludowej, to rzeczywicie nie ma tam takiej „wolności”, ponieważ od dawna już zlikwidowano w tych krajach wolność wyzysku i ograbiania mas pracujących”.

Kiedy w całym Związku Radzieckim w okresie od 1928 roku do 1951 roku produkcja przemysłowa wzrosła 16-krotnie, to w poszcze-



DZANSI KIMONKO

NAD BRZEGAMI SUKPAI¹⁾

OJCZYŹNO moich ojców i dziadów, rzeko Sukpai! Praojcowie moi ciebie znaleźli. Praojcowie moi przyszli do ciebie z nad rzeki Samargi po śladach wydry. Doszli aż do samych twych źródeł, a przedtem jeszcze ujrzeli góry wysokie i wspieli się na przełęcz. Przełęcz biegła poniżej góry Ulja — najwyższego ze wszystkich sukpajskich szczytów. Bliższy cała skalistością górcom, a na samym wierzchołku, gdzie niegdyś było jezioro, bieleje teraz płachta śniegu. W pogodny dzień ze szczytu góry Ulja widać gwiazdy.

Kto może wiedzieć, kiedy to było? Dawne podana są skape jak światło gwiazdy zarannej.

Przodkowie moi strzeżli ich długo w swych wspomnieniach pokąd przez stulecia posuwali się brzegami morza. Było ich wielu i wszyscy nazywali siebie plemieniem Kia. Niegdyś wódz ich Kia synął mądrością i siłą. Ale razu pewnego wszczął walkę z innym wódzem, Kuczyńką, o jego córkę, piękną Alagdy. Wojna ta była straszna. Kuczyńka zwyciężył. Kia pręgił a jego plemię rozprzerchło się po górach i lasach.

Któż wie ile razy rzeki zmieniały tożyska, ile razy tajga zrzucała swój ubiór od czasów, kiedy przodkowie moi dotarli do brzegów morza? Uchodzili przed wrogiem i już nie chcieli nazywać siebie plemieniem Kia. Wielu z nich wyginęło po drodze, wiele strzał poszerzyło im gołęby. Krzesali ogień i nieśli go ze sobą chroniąc przed wodą i wiatrem. Wielkie i małe wody przeczynały ich szlak. Rzeki płynęły do morza, a morze było głębokie i niepojęte.

Powiadają, że śladem wydry doszli praojcowie moi do samej rzeki. Rzeka była świetlista i prosta jak promień słoneczny. Nazwali ją Sukpai. A Sukpai znaczy — promień słońca.

Po przyjeździe nad Sukpai ludzie przekonali się, że pynie ona do innej wielkiej rzeki. Nad jej brzegami były liczne ślady zwierząt, a w rzece było mnóstwo ryb. O, nie na darmo praojcowie moi wspinali się na przełęcz. Wielką rzekę nazwali rzeką Chor i pływali po niej w swych wydrażonych czołenkach. Ileż nad nią rosło topoli na czołach! Myśliwcy wędrowali w dół rzeki i wędrowali w górę rzeki. Ale mój pradziad osiedlił się nad Sukpai.

Oto rzeka polyskuje przede mną. Wspiąłem się na górę i długo spoglądam na rozciągającą się przede mną dolinę. Garbata wzgorza tłoczą się w dole otulone białymi mgłami. Na setki kilometrów dokoła widnieją tylko lasy i góry. Ptaki słuchają jak szemrze woda, rzeki słuchają jak okrzykują się ptaki. Tu wyrósł i zstarał się mój dziad, tu niepokoił czujnego zwierza dym z koczowiska mego ojca, tu biegnął po bezdrożach leśnych i po szumiących potokach płynęło moje dzieciństwo, tu ono śmiało się i płakało.

Ojczyźno mych ojców i dziadów, rzeko Sukpai! Dolino piniestego Choru, przez dziadów odkryta, przez zwierza schodzona, przez szczebiot ptasi ułaskana, lasem porosła, wzgórzami ozdobiona, ziemia moja rodzinna, sercu memu bliska! Ileż to tropów zwierzęcych, ile śladów niedźwiedziej kryją w sobie zagłuchłe rozpadliny leśne! Ileż ryb pliska się w jasnym wodach twych rzek!

Ale stało się, że w rodzinnych stronach na życie leśnych ludzi padł straszny cień. Drożyny myśliwskie zrzucały się kroplami krwi czerwonej niczym jagody bruszniczy. Obcy ludzie przyszli do nas zza morza do tajgi. Kryjąc się w zaroślach polowali na myśliwych. Z karabinem w ręku stawali u wejścia do jurt. W głębiach leśnych stało się mroczno i zimno, jak w szczelinach skalnych, gdzie nie rosną kwiaty.

Tak upływały lata. Tak przeszedł moje dzieciństwo rozjaśnione światłem ognisk, nasycione gorzka dymu i łez. Tak przeszła moja młodość opalona pierwszym pożarem wojny, jasną luną stojącą nad lasami. Nad rzeką Chor bieleły mgły. We mgłę krażyły orły. Słońce wznosiło się powoli nad ciemną grzywą lasów. Jakże się to stało, że w rodzinnych stronach na życie leśnych ludzi padł straszny cień?

W szpitalu przebyłem dwa miesiące. Za oknem drzewa straciły już liście. O szczybie dzwonił deszcz. Jesień zbudziła w moim sercu smutek. Chciałem wrócić do domu, do rodziny i przyjaciół. Od czasu, kiedy doktor obłożył moją nogę blagą ziemią, zabroniono mi wstawać. Biała ziemia skamieniała i zbroiła się twarda. Bałem się, że pod tą kamienną skorupą noga moja zgłnie. Ale kiedy zaprowadzono mnie do sali operacyjnej i zdjęto gips, zrozumiałem, jak próżne były moje obawy. Do sali wróciłem już bez kul, podpierając się tylko laską.

Wypisano mnie ze szpitala wcześniej niż myślałem. Spojrzałem w lustro. Zamiast czarnych warkoczy przewiązanych tasemką, sterczały mi na głowie krótkie włosy. Lekkarz pożegnał mnie mocnym uściskiem dłoni. Czulem się najszybszym człowiekiem na ziemi i cieszyłem się tak, jakby mi u ramion urosły skrzydła. Ulica chlusiła na mnie zgiełkiem strumieniem nieznanym mi ludzi, warkotem samochodów, gwizdaniem, stukotem kół.

Następnego dnia Natalia Aleksiejewa odwioła mnie do technikum. Wiatr pędził ulicą poźółkie liście. Było chłodno. Zatrzymaliśmy się przed pomnikiem na placu Wolności. Kamienne stopnie wiodły wysoko do postaci z brązu. Na samym szczycie stał człowiek z prawą ręką wyciągniętą przed siebie. Takim widziałem mi ludzi, warkotem samochodów, gwizdaniem, stukotem kół.

Nie wiedzieli jeszcze że nad tajgą wschodził nowy słońce. Dom został zbudowany, ale śmieci jeszcze nie uprzątnięto. Chocę teraz opowiedzieć, jak wymieciono śmieci z tajgi, jak przepędzono kupców i szamanów. Walka była zacięta. Ale słońce nowego życia oświeciło lasy i góry. Opowiem jak nad jurta wznosił się czerwony sztandar. Wiatr go rozwinął, sztandar ponał w promieniach wschodu. Dwa imiona na nim widniały: Lenin i Stalin.

Do Chabarowskiej przyjechalimy wieczorem. Na dworcu było tłumno. Ludzie tłoczyli się do wyjścia. Tak tłoczą się kry na zakreć. Na słupach płonęły okrągłe lampy i jasno było od nich jak w dzień. Szedłem o kulach. Nieznajomi ludzie ustępowali mi z drogi. Moje serce zamierało ze szczęścia.

W szpitalu powitały nas dziewczęta w białych kitlach. Stary le-

¹⁾ Fragmenty powieści.

RADZIECKIE

gólnych republikach narodowych rozwój ten odbywał się jeszcze szybciej. „W rezultacie zlikwidowano otrzymaną w spuściźnie po caracie nierówność gospodarczą i kulturalną między narodami ZSRR”.

I dziś w „pięciu republikach radzieckich” — Uzbekiej, Kazachskiej, Kirgiskiej, Turkmeńskiej i Tadżyckiej — łączących razem około 17 milionów ludności, produkuje się trzy razy więcej energii elektrycznej niż w Turcji, Iranie, Pakistanie, Egipcie, Iraku, Syrii i Afganistanie, łączących łącznie 156 milionów mieszkańców”.

W Uzbekistanie jeden traktor przypada na 70 hektarów, a w Iranie — na 18.000 ha zasiewów. We wschodnich republikach radzieckich zbiory bawełny przeciętnie wynoszą 21 kwintali z hektara, a w Indiach — 3,4 kwintale.

W Azerbejdżanie na dziesięć tysięcy mieszkańców 93 osoby studiuje na wyższych uczelniach, a w Egipcie i Turcji 12. Sieć służby zdrowia w radzieckim Azerbejdżanie jest przeszło 23 razy gęstsza niż w Iranie. W ciągu 35 lat istnienia władzy radzieckiej 48 narodowości stworzyło własne piśmiennictwo i wydaje we własnym ojczystym języku podręczniki, książki i gazety. Ludy i plemiona dalekiej Północy, stojące znacznie niżej od ludów południowej i środkowej Azji mają nie tylko swoje piśmiennictwo, ale wybitnych poetów, artystów i uczonych.

„Rosły miasta i przemysłowe osiedla — pisze Safonow — na dalekim Tajmyrze, w kraju Jakutów, pod biegunem, w dolinie znanej zaledwiej dotąd z nazwy Kołymny. A dzieci z Igarki pisały listy do Moskwy, do Gorkiego... Każde z tych miast ma więcej mieszkańców niż stary Nowgorod w okresie swej sławy”. We wschodnim Kazachstanie rośnie jeden z gigantów nowej pięciolatki — Ust-Kamiennogorska Elektrownia Wodna, która przez ujarznienie wielkiego Irtyżu dostarczy energii elektrycznej wielu zakładom przemysłowym, kopalniom, kółchozom, pozwoli na nawodnienie milionów hektarów ziemi. Tu powstał Leninogorski i rozwinęło się hutnictwo metali nieżelaznych. A przecież tak niedawno Kazachstan był krajem koczowniczym, gdzie przed Rewolucją miast i hut nie znano, gdzie analfabetyzm obejmował 98 proc. ludności. Dziś niepiśmienność w Kazach należy do zapomnianej już przeszłości.

W Buriat-Mongolii zbudowano w okresie stalinowskich pięciolatek ponad 300 wielkich zakładów przemysłowych. Zmieniło się życie w Buriat-Mongolii. Do bezprowizyjnej przeszłości należały podziwne wiatrem wołkowe jurty, bezprzekładna ciemność, uciśnięcie i skrajna nędza. Starzy i młodzi Buriaci uczyli się i pogłębiaли swą wiedzę w ojczystym języku. Budują narodową w formie — socjalistyczną w treści kulturę, do której otworzyło im drogi zwycięstwo Wielkiego Października.

Gdzie dawniej, w martwej pustyni, u brzegów jeziora Wudjaur, spłykało się jedynie nierzwykłe ślady reniferowych zaprzęgów Samamów, mieszkańców półwyspu Kola, powstało miasto Chibinogorsk, później Kirovsk, gdzie dawniej, wśród soczystej zieleni i ostrego słońca południa, pracowały jedynie warsztaty rekondycyjne, powstały wielkie kombinaty przemysłu kłackiego i owocowego, wielkie szczyby naftowe i nowe kopalnie.

Praca nad przemianą Ziemi, odbywająca się w Kraju Rad i jego poszczególnych republikach, osiągnęła tektoniczną, kosmiczną — używając wyrażenia Timiriżewa — skalę. Safonow pisze w „Kwintaniej ziemi”:

„Samaragdowe plany upraw polarnych rozrzucono po przestrzeniach Artyki. Tam gdzie był grób przyrody, a na najdalej północnym krańcu była inna martwa przestrzeń — żółta płama pustyni Kara-Kum i Kyzyl-Kum. Turkiestan nazwany „republiką pustyni”. A teraz zbudowany już został wielki kanał Fergański. W pobliżu starożytnego Samarkandy powstaje morze Uzbekie. Wielki kanał Kara-Kumski rzucił w największą na świecie pustynię wody Amu-Darii.

Wzdłuż kanałów istniejących już w Turkiestanie zasadzone zostają na przestrzeni 3.000 kilometrów pasma lasów. Kłosa się pola na Pamirze — „dachu świata” i jak w Chibinach dziwnie i słowicie zmieniła się natura roślin: żółta owsa i jęczmienia stały się słodkie jak cukier.

Gdy na południe — wschodzie budzą się do życia setki tysięcy hektarów martwej ziemi, ziemi umarłej z pragnienia, na zachodzie tworzy się nowy spichlerz ziemi zalanej wodą, na Polesiu...”

I tworzy to wszystko człowiek — człowiek radziecki w walce o pokój i szczęście. I Wielkorus i Gruzin, Jakut i Białorusin, Ukrainiec i Turkmeńczyk, biały i żółty, ludzie wszystkich kolorów skóry i narodowości, które w ciągu jednej trzeciej wieku dogoniły i przegoni-

ły przodujące nawet kraje kapitalistycznego świata.

„Oskarżają nas — mówił Stalin — że prowadzimy propagandę na Wschodzie... Nie musimy prowadzić propagandy na Wschodzie. Wystarczy by jakikolwiek obywatel kraju zależnego od kolonii przyjechał do Kraju Rad i popatrzył jak u nas ludzie rządzą kraje... wystarczy, by popatrzył, jak czarni i biali, Rosjanie i nie-Rosjanie, ludzie wszystkich kolorów skóry, i wszystkich narodowości pracują w jednym zespole i wspólnie kierują wielkim krajem, aby przekonał się, że jest to jedyny kraj, w którym braterstwo narodów nie jest frazezem, lecz rzeczywistością. Żadnej propagandy prasowej czy ustnej uprawiać nie musimy skoro mamy fakt takiej propagandy za pomocą praktyki, jakim jest Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich”.

*

Fakty — to rzecz uparta. A przecież granice Kraju Rad stykają się z Azją z wieloma krajami, w których panoszą się nadal bezkarnie wyzysk i grabież. O mie-dzę graniczną widzą ludy Azji, jak pracować i walczyć należy dla zwycięstwa wolności.

O mie-dzę nieomal leżą Indie. Kraj 380 milionów, kraj niezmiernie bogactw i potwornej nędzy, rozszarpany pospół przez rodzimą burżuazję i anglo-amerykańską spółkę konkurujących „przyjaciół”. O mie-dzę leży Afganistan, którego ludność nie zna kolei żelaznej, gdzie 80 proc. ziemi uprawnej należy do chanów, obszarników i duchownych, a bezrolni chłopci za dzierżawę oddają cztery piąte zbiorów. Iran — potężny zapasami ropy naftowej, a jednak kraj nędzy, gdzie gwałtownie rośnie bezrobocie, gdzie ceny piętnastokrotnie przekroczyły poziom przedwojenny.

Turecja — „Panoszenie się kolonizatorów amerykańskich, militarystów, którzy jeszcze bardziej pogłębiły kryzys ekonomiczny, skazały szerokie masy ludowe na nędzę i bezrobocie, doprowadziły do wzrostu podatków i drożyzny. Turcja stała się dzisiaj więzieniem i piekłem dla mas ludowych”.

Szybki rozwój gospodarczy i kulturalny poszczególnych republik radzieckich swymi osiągnięciami — w ten właśnie sposób — wspiera i wzmacnia walkę ludów Azji o wolność, pokój i chleb. Dziś w epoce Stalina wszystkie drogi prowadzą do komunizmu, wszystkie niosą zagładę staremu światu. Płonie Daleki Wschód. Płomień walki narodowo-wyzwoleńczej ogarnia już Indie i Iran. Porywa ludy Afryki Północnej. Rośnie w czarnej Afryce, Kenii, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Ugandzie. Wszędzie powstaje lud przeciwko imperializmowi i wojnie, i jak pisze Surkow:

„Już widzę wolne narody
noszą śmierć tym katom
Niechybnie zginą oni
Zbrodniarzy ani dolar, ani
Zbudzony atom
Od sądu nie uchroni”.

*

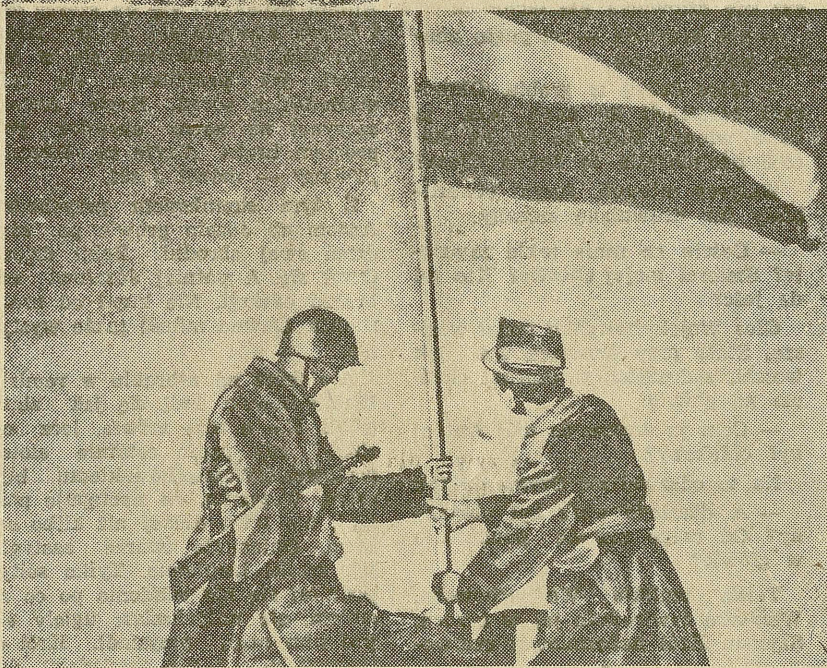
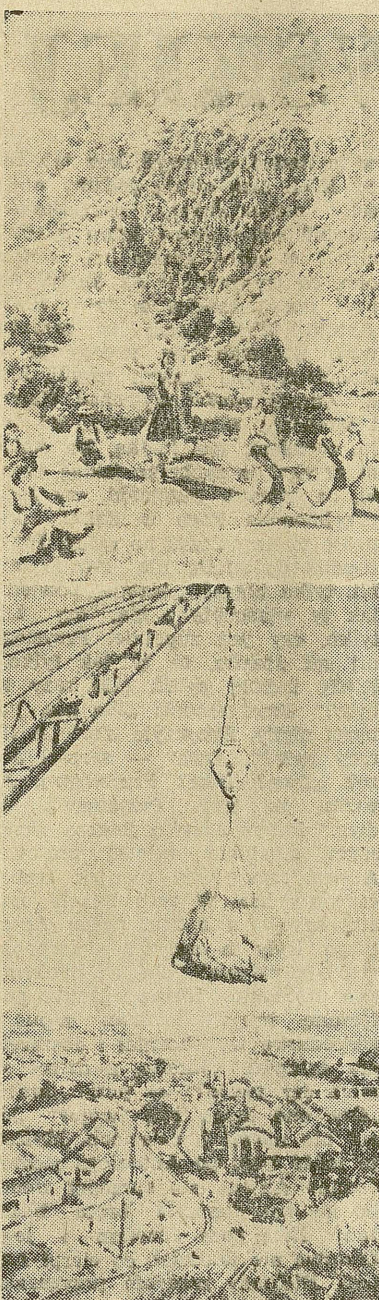
Osiągnięcia poszczególnych republik radzieckich stawiają je znacznie wyżej nie tylko w stosunku do innych krajów Azji. Na każde 1000 hektarów zasiewów przypada w Uzbekistanie — 14 traktorów, a we Francji 7. Zbiory bawełny na wielkich przestrzeniach republik radzieckich dają przeciętnie z hektara 2,5 raza więcej niż w USA. Ten sam Uzbekistan ma proporcjonalnie więcej lekarzy niż Francja lub Holandia. Podobnie Gruzja. Podobnie Ormianska SSR. W „zakończonym” Azerbejdżanie na 10.000 mieszkańców przypada 3 razy więcej studiujących na wyższych uczelniach niż we Włoszech a przeszło 4 razy więcej niż w Szwecji.

W Mołdawii w ciągu 8 lat produkcja konserw wzrosła 21 razy. Orka i siew są zmechanizowane w 80—90 proc. a we Włoszech przypada na 1000 ha trzy razy mniej traktorów, niż na besarabskiej wsi do niedawna zacofanej i rządzonej przez bojarów.

Oto Ukraina, mimo zniszczeń wojennych wytopia już obecnie o wiele więcej surowicy niż Francja i Włochy łącznie, wyrobów walowanych więcej niż Francja, a przeszło trzykrotnie więcej niż Włochy. Na początku 1952 Litewska SSR przekroczyła przedwojenny poziom produkcji o 340 proc., Łotewska — o 460 proc., a Estońska — o 510 proc. A podobnie co do obszaru Holandia i Belgia drepczą ze swoją produkcją w miejscu.

Mówił Stalin: „...obecnie sprawa zmierzka ku temu, że socjalizm staje się (i już stać zaczyna) dla wielomilionowych mas najrozsądlijszym państwem imperializmu, jako standard wyzwolenia”. I tak się dzieje dzięki nieustannej, bohaterkiej pracy i walce narodów zjednoczonych jednnością moralno-polityczną, narodów Wielkiego Października.

Tadeusz Orlewicz



WITOLD ZALEWSKI

STALINGRAD

CZY pamiętacie owe dni zimny 42-go roku, kiedy skuleni pod kosa lodowatego wiatru stawaliśmy obok sinych kibelów okupackich szczekaczek i z bijącymi sercami, z wiatu w gardłach, chłoneśmy wiadomości o tym, że: „na froncie wokół Stalingradu jak również w samym mieście wojska nasze przeszły do akcji obronnej. Nieprzyjacieli, atakując wielokrotnie przeważającymi siłami zdołali w kilku punktach sforsować niemieckie punkty oporu...” Niekiedy słuchaliśmy z przykrym iście okropnym, jakby w wyobraźni swojej wywoływali ogromne stępy, pokryte śniegiem, teraz zastlane kupami zgnioł — zielonych postaci, jakby wdziali płonące miasto grzmiące zwycięskim krzykiem „hurraaaa”; inni musieli się od razu dziełić triumfem; kiedy napaływały spojrzenia siłady mrugali z Warszawy — konspiracyjnie, uśmiech rozciągał zastrzone rysy, a w oczach zapalały się iskry niepowstrzymanej radości. Jeszcze za najbliższym rogiem mogli na nas czekać patroli żandarmów i kryta pładanka „buda”, mogli każdego z nas wywieść nocą z domu i zawiązać do miejscowości, skąd po kilku miesiącach wychodziło się dymem z kolumny, mogli nas „ukarać”, więzić, zabijać, ale teraz już, kiedy ustami własnych spikerów zaczęli wymieniać dzień w dzień słowo: Stalingrad, teraz już nie byli w stanie złamać naszej nadziei.

19-go listopada 1942 r. na północ od Stalingradu na tzw. stepach kalmuckich, Armia Czerwona przerwała front niemiecki. Następnego dnia uderzenie wojsk pancernych na południe od miasta złamało prawe skrzydło armii gen. Paulusa. Obie grupy uderzeniowe połączyły się na wschód od Donu, biorąc w kleszcze dziesiątki wyborowych, hitlerowskich dywizji.

Odtąd przez dwa z górą miesiące łowiliśmy odgłosy bitwy, w której rozstrzygały się wszystkie nasze codzienne i niecodzienne sprawy. O zamknięciu kotła wokół Niemców pod Stalingradem, dowiedziałem się od profesora B. — historyka wykładającego dla nas — studentów drugiego roku tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich — podstawy nauk pomocniczych — paleografii, dyplomatyki i metodologii. Tego dnia zastąpiłem profesora w jego pokoiku w Alei Niepodległości, pochylonego nad

MAKSYM SZEICHZADE

J E D E N A S T U

Ich jedenastu — ale chwaty.
Dość, by dokazać w bitwie cudu
I wstać nad latami i nad daty
W jasnej legendzie mego ludu.
Każdy z nich śmiały, pełen siły,
Jak młody sokół bystropióry.
Wiatry skroń w marszu im chłodziły,
Rankiem budziły ich lazury.
Szli wysławiając kraj rodzony
Przez stępy w nadwołżańskie strony.
A każdy chwalił był spragniony.

II.

Stalingrad — toż to miasto sławy.
Żyć mężnie — jego przykazanie.
Zna jego dzieje żołnierzy prawy
I dziś z uporem walczy za nie...
Wróg widząc mgstwo ich — oniemiał
Żołnierz zazdrościł żołnierzowi,
Gdy broń przykładł do ramienia...
Tak jedenastu postanowi:
— Lud w naszą dłoń powierzył miecze.
Wróg miasta w jassy nie zawlecze.
Wszak nigdy Wołga wspak nie cieczel

III.

Na szczyt wstępuje pełnić wartę
Ich Oddział w męstwa twardej zbroi.
Próżno wróg wojska pcha uparte,
Uzbecki żołnierz jak mur stoi.
Żelazny wał u nóg się kłębi.
Żołnierska śmierć zagłada w oczy.
Tak wiatr, choć wie, że gór nie zgłębi,

Pod niebo piasku słup zatoczy.
Jak ściana stoją pod dział grzmotem,
Próżno wróg zepchnąć chce ich rotę.
O nie, nie śmiałby się odwrotem.

IV.

Te wzgórza nie są wszak wysokie,
Lecz kiedy spojrzysz w dal z ich ściany,
To wkrąg rozciąga się pod wzrokiem
Nasz Wschód rodzony, kraj kochany.
I widziś nad grzywami piachu
Skraj nieba niski i zamglony:
Ciągnie wielbłądów sznur na zachód,
Dzieci w ogródkach śpią zielonych,
Ogrodnik — starzec tak, jak co dzień
Do sadu spieszy Przy zagrodzie
Koń pluszcze się w krynicznej wodzie.

V.

I znów szturmują wróg do miasta
I świeże krwi spływają strugi.
Wół trupów pod redutą wzrasta.
Już wyrósł zeń wierzchołek drugi.
Wciąż jedenastu miota ogień.
Tych jedenastu — lwy złowrogie,
Tych jedenastu sieje trwogę.

VI.

Cóż proch? Cóż ziemi garść? — blachotka.
Z prochu proch nawet nie przysrasta.
Lecz garstka ziemi — to już wioska
To rok — dzień bitwy o los miasta.
Zapomnij, że twój kraj ogromny.
Jeśli od wroga się odwrócisz,
Gdy skibę ziemi twej porzucisz,
To czymżeś bez niej ty — bezdomny!

Więc czoło — wrogom, plecy — skałom,
I jedenastu mężnych śmiało
Za kraj ojczysty życie dało.

VII.

Przeżyją sławną śmierć legendy.
Wieczysty jest mój kraj stuleci.
Świętym zwą matki wzgórza, kędy
Za kraj poległy miłe dzieci.
W legendę przeszło już świetlaną
Tych jedenastu synów Wschodu,
Więć o nich przejdzie sto narodów
W legendzie dzisiaj zmartwychwstaną.
Mit wstał przy prochach ich na straży
I w stepach w pieśni o nich gwarzy
Kazach i Uzbek i Tatarzyn.

Przeł. T. Chróścielewski

rozłożoną na biurku — mapą. Karbidówka, jak zwykle przychając strzelała promykiem, w pokoju jak zawsze teżał lodowaty ziąb i przez zaciemnione okno wpadał fragment drapieżnej pieśni chrypiącej przez esmanów na dziedzińcu Stalern Kazerne. Ale profesor błysnął spoza grubych szkieł spojrzaniem, odmiłniał o całej laty, pełnym ognia i blasku. „Wie pan już? Otoczyli ich. Cała armia... Paulus w worku... Pół miliona ludzi...” zatarł ręce czerwone i opuchnięte od odmrożeń, pochylili się nad mapą „...niech pan patrzy, tutaj... tutaj spotykali się dwa skrzydła nacierające, klasyczna operacja, wielkie zwycięstwo, pierwsze zwycięstwo w tej wojnie...”

Nigdy jeszcze nie widziałem profesora B. tak poruszonego. Zaczął opisywać z naukową metodycznością dotychczasowy przebieg bitwy, potem szybko, gwałtownie, jakby się w nim coś otworzyło, jakby nie mógł zatać naporu uczuć zaczął mówić o bohaterstwie stalingradczyków. Profesor B. nie był „czerwony”, nie był nawet w jakikolwiek sposób związany z ruchem postępowym; często dostawałem od niego „Biuletyn Informacyjny”, „Rzeczypospolita” i inne pisma oznaczone krzywą szabelką. Profesor B. wierzył w demokrację Ameryki roosewelskiej, w postępowość rządu polskiego, kierowanego przez Sikorskiego. Myślał jednak, że korzenie jego światopoglądu sięgały znacznie głębiej niż by to wynikało z naiwnego powierzchownego uznania dla programu roosewelskiego. Profesor B. — znawca epoki polskiego Odrodzenia wiele czasu strawił nad pismami Modrzewskiego; żył z polską myślą postępową lat minionych, a dzień dzisiejszy jakoś się dotąd zacierał przed jego oczyma. Poza tym — wiedziałem o nim, że pochodzi z rzyszowskiej wsi, że przeszło rok siedział w pończoszniczym więzieniu, że stracił brata na wojnie i że głęboko nienawidził okupanta, co świadczy o gorącej miłości do własnego kraju.

Wszystkie upokorzenia, których hitlerowcy nie szczędzili naszemu narodowi — profesor B. brał do serca, jak osobistą zniewagę. I oto teraz odwrócił się koło. Jest siła, która tej ciemnej mocy ukroci karku. Od wczoraj profesor był zupełnie pewny, że Rosjanie zadadzą hitlerowcom śmiertelne uderzenie. Siła tego narodu, który tyle już w tej wojnie stracił i

raży robotnicy z fabryk stalingradzkich; jasne jest, że stutysięczny korpus polski mógł odegrać wówczas dużą rolę i przyczyniłby się na pewno do szybszego złamania Paulusa. Tymczasem, kiedy Anders wyprawał silną armię z kraju owa-ego decydującą walkę z hitlerowcami, w Polsce cały naród walczył z najeźdźcą. Kilka miesięcy przed Stalingradem pierwszy oddział partyzancki Gwardii Ludowej wychodził w pole. Mnożyły się akty dywersji, zamachy na hitlerowskich dygnitarzy, kwitnie sebotaż gospodarczy.

16 października hitlerowcy weszli w Warszawie 50 komunistów — pepperów i członków Gwardii Ludowej. W odwet Gwardia Ludowa przeprowadzała terrorystyczne zamachy na Cafe Club, Restaurację Dworcową i „Nowy Kurier Warszawski”.

28 listopada jest dniem faszystowskiej ofensywy. Niemcy przystępują do eksterminacji ludności polskiej powiatu zamojskiego. Zaczyna się „akcja”, w wyniku której 400 tysięcy osób wymordowano, zamęczono, wywieziono do obozów i na roboty do Rzeszy. Tego samego dnia faszysty polscy mordują przywódcę PPR — Marcelę Nowicką.

Naród Polski na przykładzie Zamorskiego ujrzał unacjonioną wizję swoich losów, — w wypadku hitlerowskiego zwycięstwa. Ale pod Stalingradem, pod uderzeniami radzieckich ludzi z faszystowskiej potęgi. W Warszawie na murach domów, na parkanach i na chodnikach strącały niemieckich ułupników wypisane krewą: Stalingrad. Pod szczekaczkami zbierają się Niemcy, gacząc się wymachując gadzinówkami: „planowy odwrót pod Stalingradem”.

Stalingrad! Serca biją mocniej i łatwiej znosić mękę bezbronnych przechodni, łatwiej patrzeć w twarz tłumy, dumny zwycięzcą. „Wracać... la-panka...” ostrzega jakaś kobieta młodego chłopca. „Mszcza się za Stalingrad!” — dodaje. Na wsi podlaskiej chłop przechowuje ranne partyzanta: „Jak tam pod Stalingradem?” pyta towarzyszy ranne, który przyszedł go odwiedzić. Profesor B. coraz częściej rozmawia ze studentami o polityce i o przyszłości. Wie już dobrze, do kogo ona należy.

Witold Zalewski

JACEK BOCHEŃSKI

SPRAWA WOJCIECHOWSKIEJ

(Fragment opowiadania pt. „Władza“)

SZYMON Król na próżno chodził do Wojciechowskiej.

— Powiedziałam, że nie, to znaczy, że nie.

— Pokątnie w chałupach potrafi Wojciechowska urządzić. Ma do gadania tyle — Król szeroko rozłożył ręce. — Czy nagle Wojciechowskiej język uschł? Byłoby co natrzepie, natrzepie, a na zebranie w remizie już bojaźliwa? Jak się Wojciechowskiej zdaje, że ma krzywdę, trzeba to wyraźnie ludziom powiedzieć.

— Wyście już tam beze mnie uchwalili, może nie wiem, żeście wszystko uchwalili tajnie? Na co ja teraz pójdę. Na takie kino? Chyba że tylko na kino...

— Nie ma się czego wstydić. Wstydić się można chłopu nago, a na zebraniu trzeba swoją rację powieścić.

— Wasze i tak będzie na wierzchu. Nic tam po mnie.

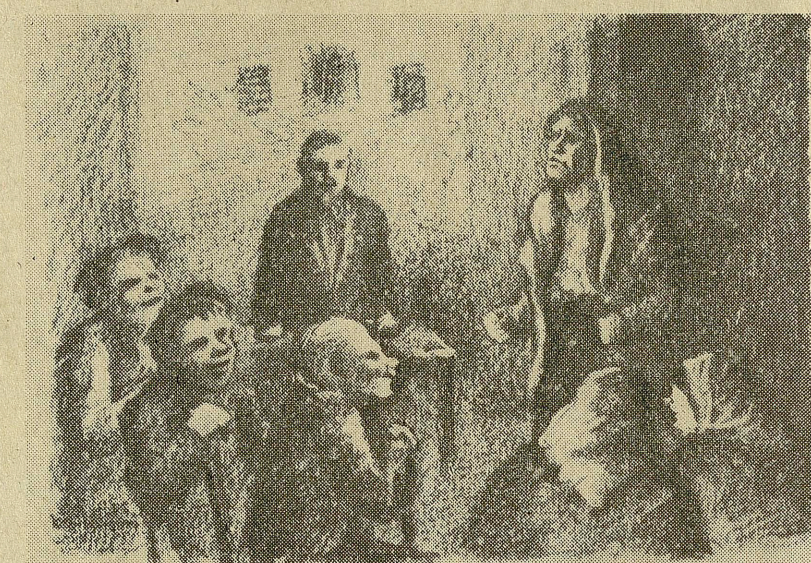
Wojciechowska uparła się i na zebranie gromadzkie nie przyszła. Wobec tego wystąpił Szymon Król, jako „upoważniony przez partię” i oświadczył, że w egzekutywie analizowano sprawę Olejniczaka i Wojciechowskiej. Olejniczak zdał zboże na skup, a teraz nie ma na alimenty dla Wojciechowskiej. Przyjeżdżała w tej sprawie komisja z powiatu. Ta komisja radziła, by Olejniczak dał Wojciechowskiej pieniądze zamiast zboża. Wojciechowska powiada, że to będzie dla niej krzywda. Ale skąd Olejniczak weźmie zboże? Wojciechowska i tak całego zboża nie zje, tylko sprzeda. Więc egzekutywa uchwała, że Wojciechowska nie ma krzywdy, a teraz Szymon Król jako „upoważniony” prosi, aby wszyscy podnieśli ręce i aby cała gromada tażę uchwała, że Wojciechowska nie ma krzywdy.

Ręce podnosiły się niemrawo, opadały i znowu szły w górę pod bystrym okiem Króla, który uroczyście liczył głosy. Ledwie Król skończył tę robotę i zawiadomił o jedynym przyjęciu uchwały, z rozmaitych kątów odezwały się pomruki, ale jednak Wojciechowska ma krzywdę. Soliś prowadzący zebranie przełączył się, spojrzawszy niepojęnie na sekretarza organizacji partyjnej, później na Szymona Króla i nagle zawołał srogim głosem: — Już za późno na dyskusję.

— Nie za późno. Ja chcę mówić — rzekł Szymon Król.

W tym czasie Olejniczak czuł już przyjaźń dla Szymona Króla. Początek przyjaźni był niezwykły. Olejniczak jechał kiedyś do GS-u z Królem i zapytał go tak samo jak Wojcik, czy to, co Wojciechowska robi z Olejniczakami, to nie wyzysk człowieka przez człowieka? Król odpowiedział „wyzysk”, a później podał sprawę Wojciechowskiej na egzekutywę. Czy Wojciechowska czymś naraziła się Królowi? — myślał Olejniczak. Jaki interes ma Król, by było tego chodzie? Tymczasem spór Olejniczaka z Wojciechowską budził coraz większe zainteresowanie we wsi. Dwa-dziesiąt lat trwała cisza, aż po dwudziestu latach zmąciła się przy skupie zboża. W tym skupie każdy miał jakiegoś bolaka. Rozognili się ludzie namietnością, pękły stare związki między przyjaciółmi, rosły nowe nienawiści i nowe przyjaźnie. Ludzie stali się pobudliwi, a także śmielsi do każdego rozruchu w gromadzie. Otwierały się zabliźnione rany i odzywały zstarzałe boleści. Jeden drugiemu patrzył na ręce, jeden drugiemu liczył kwin-tale, każdy wołał o sprawiedliwość od czasu, gdy wojewódzki pełnomocnik zaczął niemal codziennie przyjeżdżać do gminy i gdy prze-

gnano stamtąd „siostrzeńców”. Korzeń Polski, zniszczony gradobiciem, odstawił zboże. Ale równocześnie nadeszła czarna godzina dla chytrosów. Tajemnicze wywiady przeniknęły do sekretnych kopców, do schowków, do wszelkich stodoł i stogów. Nieświadomymi sposobami wychodziło na jaw, co kto omlócił, co kto ukrył i wydawało się, że nawet myśli ludzkie nie są już tajne, lecz powszechnie znane. Jakby wiano oliwy do ognia, tak skup zboża przepalał ludzkie dusze. Niczym pożar szedł przez wieś, rozsypując „sztywnych” na popiół



Rys. Bimali Horsa

a hartując słabeuszów. W tym płomieniu nie ostała się również Wojciechowska.

Szymon Król wyraźnie zawiał się na Wojciechowską. „Jak to? Czy takiej skup już nie dotyczy? Jak jest skup, niech nikogo nie minie”. Król organizował nienawistę przeciwko Wojciechowskiej. Olejniczak rósł. Król zjednał najpotężniejszego stronnika: partię. Co idzie przez partię, to zwycięża. W partii niczego nie traktują miękko, wszystkich wyzybuje się tam stron wątpliwych a nabiera surowości. Nagle Olejniczak pojął: tylko partia oeni jego krzywdę tak surowo, jak on ją czuł w sobie. Tak jest porządek w partii, co stamtąd wychodzi, wychodzi twardsze od żelaza. Teraz już nie pamiętał Olejniczak, że partyjni szli na urzędy i prezesury. Całą swą nadzieję pokładał w tym, że oni byli przy władzy.

— Co to za mowa? — rzekł Szymon Król. — Co to za mowa, że Wojciechowska ma krzywdę. Odkąd to lichwiarzom może być krzywda? Skórę drzeć z człowieka — owszem, nie ma krzywdy, a jak nie dają drzeć, to krzywda?

Młodzi przytaknęli „słusznie, słusznie”, ale wśród starych trwał ciągle niespokojny szmer.

— Tak alimentników urządzacie, że chyba, kto stary, ma iść do mogiły. To lepiej od razu zabić. Młodzi odpowiadali, że alimenty są u wszystkich w poszanowaniu, bo tak było zawsze, ale dawniej nie było planowego skupu, a teraz jest. Może alimentnicy dadzą zboże na skup? Nie chcą? No to trzeba podchodzić społecznie i wyrozumieć tych, co na skup dają. Przecież i tak wiadomo, że jeszcze żaden alimentnik nie poszedł z torbami. Po co to kręcenie? A zresztą poniekąd alimentnik, jak nie przysięgając Wojciechowską, bywa bogatszy od tego chudziaka, co go żywi. I każdy jednak płacze.

— Ja chodzę do Wojciechowskiej — opowiadał Szymon Król —

i mówiłem, żeby przyszła na zebranie. No i nie przyszła. Ona sama taka w tym niepewna, że wołała tu nie przyjeść.

Szymon Król omylił się. Wojciechowska piła tymczasem wódkę. Ale piła nie dla smaku, lecz po to, by utopić w sobie lęk. Po niespełna godzinie przybiegła do remizy z placem. Powiało od niej zimnem, a równocześnie smrodem.

— Com ja winna, że mój nieboszyk zarabiał dzieci? Dlaczego mi odbieracie chleb?

Serca ludzkie są miłosierne. Tylko uczucie litości mogła budzić



Rys. Bimali Horsa

Wojciechowska, przypominająca teraz nie człowieka ale lachman.

— Ma krzywdę — szepnęło znowu kilka głosów.

— Moje dzieci w grobie, Olejniczak przetracił mi nogę, cum ja temu winna? Dlaczego mi na starość odejmujecie tę kapkę zboża?

Wszyscy milczeli. Języki stwardniały jak drewniane szczapy.

— Coście na mnie takie zawzięte? Śmierci mojej chcecie? Kto mi da jeść?

Głos Wojciechowskiej padał w ci-szę. Stała przy drzwiach tak jak weszła, zadyszana, w czarnej chustce na głowie.

— Com ja winna, że mój Antoni był obłąkany?

Na to odezwał się Szymon Król: — A dlaczego wasz był obłąkany? Od czego mu się pomieszało w głowie?

Teraz umilkła Wojciechowska. Wszystko zawirowało jej w oczach. Szymon Król nabrzmiewał czerwonością.

— Nie wiecie? To ja wam powiem. Bo Wojciechowska chodziła do żyta.

Ktoś roześmiał się głupkowato. Ktoś krzyknął. Wojciechowska trzępotała rękami, jakgdyby chciała od siebie odepchnąć niewidocznego upióra. Potem nagle stanęła sztywna, wyprostowana, poprawiła chustkę na ramionach i rzuciła w tłum: — Bydlaki!

Wśród zebranych w remizie był Wojciechowski. Usłyszał krzyk Szymona Króla, usłyszał krzyk bratowej i nagle skurczył się, ale równocześnie coś w nim zagrało jak w starym zegarze, poruszyły się warstwy zleżałych wspomnień, trochę koszarne, a trochę rzewne.

To z nim, właśnie z nim spotykała się Wojciechowska w życie, gdy oboje byli młodzi. Teraz trudno mu

w to nawet uwierzyć, lecz tak było. Mieli tam swoje godziny miłości, niecierpliwiej, gorączkowej, szeptał sobie słowa, które miodem ciekły w serce, grzało ich słońce, oho, co wyprawiali! Aż kiedyś nakrył cudzołożników w tym zbożu Antoni. Więc potem już przeczorniej: widywali się wieczorem w stodolach albo czekali chwili, kiedy Antoni musiał wyjechać. Nawet i wtenczas Józef zachodził od tyłu, ogrodem, nie furtką, bo Antoni zatykał w skobelku jakieś siomki, po których poznawał, czy żona przyjmowała kogo w domu. Już padło to Antoniemu na myśl. Przychodził do brata, nie groził, nie bił, tylko błagał: „Józefie, powiedz, jak ty właściwie z nią, czy tak tylko, czy już zupełnie. Przysięgnij mi Józefie, że ty tak tylko.” Kiedy indziej pytał: „Ile razy to było?” Józef mówił: „Już nie, już teraz nigdy. Skończyło się.” „A ile razy było?” „Dwa” — szeptał Józef. „Dwa? Dwa? Przysięgnij. Ja wiem, że trzy. Przysięgnij, że dwa.” Potem Józef z jeszcze większym smakiem opłatał bratową. Antoni rozsypany jak zroba-czywały liść. W tych latach nastał kryzys, a z nim nędza Antoniego. Były to czasy, gdy gospodarze bankrutowali, ale ich bankructwo użyźniało nieraz grunt pod fortunę innych. Antoni zapuścił gospodarkę, wypobożniał i doszczętnie zgłupiał. „Józefie, a dzieci są moje czy twoje?” — pytał brata. „Czy one mogą być twoje?” Józef nie mówił o dzieciach. Myślał, że może kupi od Antoniego ziemię. Jednak Antoni nie sprzedawał ziemi, bo się bał dopuścić brata bliżej żony. Nikt poza Józefem i jego bratową nie wiedział, co cierpi Antoni. Niekiedy zazdrość przysała, Antoni uspakajał się na szereg dni i wtedy zdawało się, że to jakoś przejdzie, że przedawni się w pamięci, jak przedawnia się tyle małżeńskich zdrad. Nagle Antoni zaczął na nowo skomleć pod progiem brata. „Czyje są dzieci?” „Twoje” — mówił Józef.

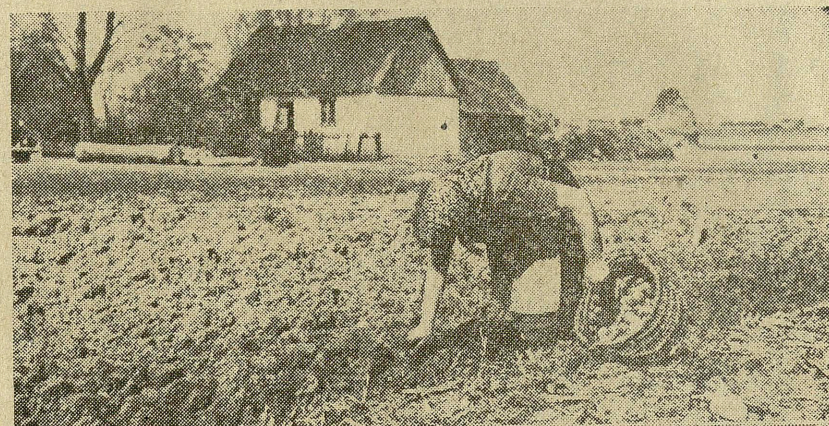
Z tym skomleniem przychodził Antoni do Józefa prawie po sam dzień swej zbrodni. Zabił dzieci. Otruł się. A później Józefowi zabrakło odwagi. Nie kupił od brata gruntu. Dawna miłość także wystygła.

Ale teraz na zebraniu w remizie Wojciechowski kuli się jak zbity psiak. Nie o nim mówią, lecz od chwili, gdy padło ostatnie słowo bratowej, Wojciechowskiemu bije serce. Wszystko, co następuje później, nie trwa dłużej niż kilka sekund. Oniemiale twarze zastygły jak maski kamienne. Tylko soliś podniósł się nie wiadomo po co za stołem, ale natychmiast ugłębił się pod nim nogi, przysiadł. Król otworzył usta i nie powiedział słowa. Wojciechowska krzyknęła jeszcze raz: — Swinie!

Na to Król jak nieprzytomny ruszył przed siebie. Szedł do Wojciechowskiej. Trudno zgadnąć, co by się mogło stać, gdyby Król już przy pierwszych krokach nie potracił lampy, którą z brzękiem spadała na podłogę i zgasała. Równocześnie otworzyły się drzwi remizy i przesunął się w nich szybko ludzki cień, a z głębi ciemnego wnętrza rewizy dobiegł czysty głos: — Nic nie dać tej

Głos był wściekły, chrapliwy i nie był głosem Olejniczaka. Inny odparł: — Nic jak nic. Byt zabezpieczyć i to wszystko.

Jacek Bocheński



ZYGFRYD SAWKO

WIEŚ SOMPLACIE

W OKRESIE WYKOPEK

Wykopki. W deszcz. I ludzie w polu mokli. Kiedyś to pyry w pryzmach wreszcie złożą? Nie w ziemi, w błocie szukał chłop kartofli, By zebrać w porę, zanim złapią mrozy.

Wciąż siał deszcz — do suchej zmokli nitki, A tu

Zjechali do wsi literaci.

W wieczór ten

Z domu

Kto nosa nie wytknie

Wysłuchać gości w głuchej wsi Somplacie.

Od dni głośno wizytę z Warszawy.

Potrąfią przyjąć na Mazurach godnie.

Wciąż siał deszcz.

Chłop nawet w usta strawy

Gorącej nie wziął, konie w stajni głodne...

Z kartoflisk

Zatopionych w niskich chmurach —

Wrócili ludzie.

Nim się zakrzętnęli —

Już dzieci z wieścią wpadły, że akurat

Przed szkołą goście autem przystanęli.

Spotkały powóz tuż koło zakrętu;

Wjechali do wsi.

Paczkę książek znieśli —

Przemokli w drodze, chociaż pod brezentem

Odbili podróż nad brzegami jezior.

Kolację zanim w domach się przyrządzi —

Przywitać trzeba społem.

Mrok wieczorny...

W ciemności iść ze światłem lżej. Nie zbłądzisz.

Któs właśnie

Wniósł latarnię na próg szkoły.

Nie myślał Mazur przed latami wcale,

Ze swą latarnię, którą w stajni wieszał,

Dla bajek Mickiewicza dziś zapali,

Dla wierszy

Młodych sercu

W dżdżysty na wsi wieczór.

Zygfryd Sawko



Rys. Bimali Horsa

SYLWESTER BANAS

ZABA WA W JASIEŃCU*)

W JASIEŃCU przygotowywała się wielka uroczystość. Robotnicy Zakładów Starachowickich w ramach czynu październikowego zobowiązali się wyremontować i wyposażyć świetlicę POM-owską. Cały miesiąc wrzasała praca. Obszerny salon, pustych, zaniedbanych i brudnych, z pomocą sprawnych rąk stolarzy, murarzy, malarzy zamieniony się na czystą, estetyczną, ozdobioną malowidłami świetlicę, wyposażoną w bibliotekę, krzesła, stoliki do gry, szachy.

Moment otwarcia świetlicy zbiegł się z momentem powrotu brygad z zimowej orki. Mróz zaczynał już skubać ziemię lodowatą obrożą i w powietrzu wirowały drobne płatki śniegu, gdy znów na podwórzu POM-u zajeżdżała zwycięska kolumna wywiazawczy się ze swego zobowiązania. Zmęczeni, zziębnięci, lecz szczęśliwi, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, wprowadzili traktorysty swoje stalowe rumaki do garaży, na zimowy postój.

Ze Starachowic przybyła ekipa artystyczna.

Mimo zaklaniania się, że noga ich nie postoi w POM-ie, najwcześniej ze wszystkich przybyli do świetlicy

mieszkańcy czworaków, zwabieni ciekawością.

— O, nawet za dziedzica nie było tu tak ładnie — zauważyła Lipcowa rozglądając się dookoła.

— Jak tak ino wszedłem — zastęrgał się Stecki — ale niech zacząć co gadać o wspólnocie, to zaraz wychodzimy, ludzie.

— Tak, tak, wychodzimy — poparli go Styga i Zielenka.

Ludzi przybywało. W końcu brakło miejsc siedzących. Nawet z dalszych wsi przyszli chłopcy, zwabieni wieścią, że w Jasieńcu „coś będzie”.

Zaproszeni przedstawiciele zajęli miejsca na trybunie. Doborowy zespół orkiestry starachowickiej odegrał Międzynarodówkę. Po dyrektorsze zabierali kolejno głos: przedstawiciel Partii, Centralnego Zarządu Państwowych Ośrodków Maszynowych, Wojewódzkiej Rady Narodowej i przewodniczący spółdzielni w Sulęcinie.

Spoglądali na siebie jasięńscy. Słyszeli tyle przemówień, a w żadnym nikt ich nie zachęca do wspólnoty. Powiedział Czarniecki o osiągnięciach swojej spółdzielni i na tym koniec. Nikt nie wołał: „Podpisujcie deklaracje!” Natomiast dyrektor mówił, że będą mogli przychodzić do świetlicy, przeczytać gazetę, książkę, zabawić się, miło spędzić zimowe wieczory.

Szturchali się chłopcy lokciami:

— Ale nas podbiera, ale umie gadać, gdzieby do takiej czystej świetlicy puszczali co dzień i za darmo ludzi? Buja i tyle!

Traktorysty również mieli dzisiaj niespodziankę.

Po przemówieniach odczytał dyrektor listy z podziękowaniami, jakie napłynęły do POM-u od spółdzielni produkcyjnych i grup indywidualnych chłopów. Wyrażano wdzięczność za wzorową i wydajną pracę poszczególnych brygad i traktorzystów. — Do dobrych wyników traktorzystów w dużym stopniu przyczyniła się wzorowa i pełna zrozumienia praca dwóch mieszkańców Jasieńca, towarzysza Cieślaka i Grudy, za co im bardzo dziękuję — powiedział dyrektor.

Spojrzała Grudzińska na swego chłopca z dumą. Stał skromnie pod ścianą uśmiechając się, zawstydzony.

Popatrzała Cieślakowa na swego — o widziś, wyróżnili ciebie!

Szeptali między sobą jasięńskie:

— Patrzta, patrzta! — i z nieśmiałą dumą spoglądali na ludzi z innych wsi, jak gdyby chcieli pochwalić się: „To nasze z Jasieńca, o nich dyrektor mówił!”

W tej chwili nie chcieli pamiętać, ile nadokuczali tym „naszym” za to, że poszli pierwsi pracować w POM-ie,

— Za dobre osiągnięcia w orce i umiejętnie obchodzenie się z ciągnikiem otrzymują traktorysty Włodarczyk i Zarychta srebrne odznaczenie przodowników pracy...

Zasłnili srebrzyste gwiazdki na piersiach zarumienionych i szczęśliwych traktorzystów. Grzmot oklasków wstrząsnął salą. Bili brawo i koledzy z POM-u i goście. Rumienili się coraz bardziej młodzieńscy przodownicy Włodarczyk.

W przerwie między częściami oficjalną artystyczną Grabowski, ogłaszając z zadrzaskiem odznaczenia, powiedział:

— Widzę, że jak kto się stara, to wiedzą o nim. Słusznie wam się to należało, ale na drugi raz to żeby nie wiem co, ja wezmę pierwsze miejsce!

Z otwartymi ustami słuchali ludzie koncertowych utworów orkiestry, dobranego chóru. Podobał się bardzo występ baletu, ale Lipcowa pociągnęła za rękę teściową Przygodzkiego:

— Tfu, patrzcie, jakie bezwstydne! Gole nogi pokazują i majtki im widać. Tyż panny! — chichotały wstydliwie kobiety.

— No, a teraz możemy się ze dwie godziny pobawić — powiedział na zakończenie dyrektor. — Muzyka będzie grać do tanca.

Dla fasonu ciągnęły matki swoje pociechy do domu. Te się opierały, rade pohulać, no, a stare też nie by-

ły od tego, żeby popatrzeć, tym bardziej, że harmonista z miejsca wyróżniał oberka, a saksofony dziś też nie próżnowały.

Chłopi nie wychodzili, niby to czekając na baby. Paru tylko wyciągnął Stecki szepać um do ucha, że ma w domu trochę wódki na zalanie robaka.

Dziewczyn było niewiele, chętnych do tańca traktorzystów sporo. Toteż Grabowski nie namyślając się porwał stojącą pod ścianą Lipcowa, a Osójca wyciągnął na środek kiwającą ze zgorzsnia głową starą teściową Przygodzkiego.

Stara opierała się z początku, ale harmonista rozciągnął harmonię na całego, dzielnie sekundował mu saksofon, a bęben huczał, aż szyby się trzęsły — no i poniosło babkę.

— Usia-sia, usia-sia... — pisała i poszła w tany. Myślał Osójca, że babka prędko ustanie, ale tu się dopiero sprawdziło przysłowie „w starym piecu diabeł pali”.

Jedna za drugą opadały zmęczone pary. Osójcy pot oblepił plecy, a babka hulawa. Wreszcie na środku pozostała jedna para — Osójca z babką. Przygodzki stał w kącie i wydziwiał na głos:

— Patrzcie starego grzyba, jak to

hula, a jak potrzeba iść za gęsiami czy krowę wygnać, to mówi, że ma rematyz.

Chłopi dogadywali: — Widać, Czesław, będziesz miał wesele wyprawiać. Babka odmówiała!

Wreszcie harmoniście ścierpły ręce. Urwał w pół taktu. Babka chwilać się kłapała ciężko na krzesło: — Uf, alem się wyhulała. Uf.

Osójca obcierał pot z czoła dziwiąc się:

— Wziąłem babkę dla żartu, a tu masz!

Późno w nocy rozchodzili się ludziska do domu, bo zapowiedziane dwie godziny przeciągnęły się w sześć. W oczach wszystkich zęgał się czule Wiśniewski z Różką. Zielenkowi udało, że nie widzi.

Już przed czworakami powiedziała Lipcowa do babki:

— Ale niczego nawet te traktorysty, galante do hulania chłopaki z nich, i w tym POM-ie człowieka tak zabawili.

— Ale hulają — przerwała babka — wcale jak za moich czasów Ojciec, ję! — skrzywiła się — ale mnie nie-możliwie drze noga. Pewno znowu zrobi się plucha, diabelny rematyz.

Sylwester Banas

*) Fragment powieści pt. „Przebudzenie”, która ukazuje się nakładem SWO „Czytelnik”.

BARBARA TYLICKA

DOBRA TRADYCJA POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY

O niedawna młodzież w wieku lat 12-14 pasjonowała się literaturą „dzikiego zachodu”. W ubiegłym roku w jednej ze szkół warszawskich toczyła się ożywiona dyskusja na temat wartości tego rodzaju lektury. Nauczycielka języka polskiego, zaniepokojona poczynnościami wśród dzieci powieści, propagujących nienawiść rasową i torujących drogę ideologii faszystowskiej, postanowiła w dyskusji z młodzieżą wyjaśnić przyczyny popularności powieści kryminalnych w rodzaju „Klub Domino”, „Pogromca”, „Tajemnicze brylanty” itp. Na dyskusję zaproszono autorkę znanej powieści dla młodzieży pt. „Zemsta rodu Kabunauri” Helenę Bobińską. W dyskusji wypowiedzi młodych czytelników wyjaśniły przyczyny atrakcyjności literatury detektywistycznej i „cowbojskiej”. „W tamtych książkach jest zawsze jakaś tajemnica, która się dopiero w końcu wyjaśnia i dlatego to jest ciekawe” — powiedziała jedna z uczennic. „W kryminalnych książkach od razu zaczyna się akcja, a w innych opisyuje się to i to i potem dopiero wplata się to w akcję”. „W kryminalnych książkach jest tak, że ten co czyta, nie wie jak się to skończy, do końca jest napięcie” — stwierdziła wypowiedzi chłopców. Sugerowały one jakiś specyficzny rodzaj techniki powieści dla młodzieży. Na tę jedną ze specyficznych cech literatury młodzieżowej zwrócił uwagę Czernyszewski: „Spójrzcie, mówili, czy dziecko lubi rozwlekleść, wadliwość opowiadania? Nie; ono nieustannie pyta nas: Wiesz coś dalej? Mówcie szybciej, szybciej prowadźcie bajkę do końca, mówcie tylko to, co najistotniejsze”. Dzieci nie lubią zwolnionego tempa narracji, żądają napięcia w rozwinięciu tematu. Problem musi się rozwijać w toku żywej akcji. Znały te upodobania młodych czytelników autorzy i często przesadzają. Nie rzadko ubóstwo uczuć i treści ideologicznych zastępują obfitością i zmiennością wydarzeń. „Zemsta rodu Kabunauri” *) jest w naszej lekturze dla dzieci chyba jedynym przykładem utworu, gdzie autorka potrafiła organicznie związać socjalistyczną treść wychowawczą książki ze specyficznymi konwencjami typu narracji dla młodych czytelników. We wspomnianej dyskusji H. Bobińska podnosiła wartości książki H. Bobińskiej. Zyskała ona wielką popularność. „Karta książki” we wszystkich czytelnikach dla dzieci i młodzieży jest ciekawie zapisana datami wypoczynku. Taką umiejętność rozbudowania tematu, logiczność i wartość biegu akcji, ścisły związek tematu z rozwojem obrazów wykazują najlepsze radzieckie powieści dla młodzieży.

Powieść H. Bobińskiej, po raz pierwszy wydana w Moskwie w r. 1930, jednocześnie po rosyjsku i po polsku, jest związana z osiągnięciami literatury radzieckiej i wyraża atmosferę socjalistycznej książki dla dzieci w Ktaju Rad. W tym czasie w Polsce literatura dla dzieci i młodzieży była wyrazem solidaryzmu klasowego, kosmopolityzmu, nacjonalizmu i nienawiści do ZSRR. Dla dzieci pisała Buyno-Aretowa, Czarska, Zakrzewska, ks. Pałowski itp. Na powieści Heleny Bobińskiej w tej literaturze słodkawe, burżuazyjne szmery miejsca nie było. Elementy postępowej ideologii dochodziły do głosu tylko w twórczości H. Górskiej

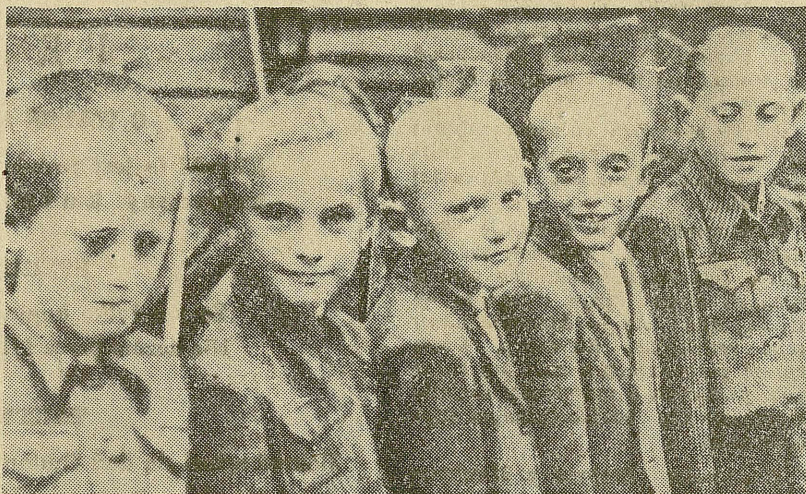
Jest w powieści rozdział uogólniający w sposób artystyczny typowe zjawisko lat porokowych. Zatyłowała go autorka „Kamerade”. Tak nazwał niemieckiego jeńca marzącego o przeniesieniu doświadczeń rewolucji do swego kraju, ubogi szewc gruziński Arcyż. Autorka problem międzynarodowej solidarności rewolucjonistów, potępianie wojny imperialistycznej i głęboko humanitarny stosunek do człowieka potrafiła wyrazić bez odwoływania się do zbyt nieograniczonego deklaratoryzmu, potrafiła narzucić jej młodym czytelnikom jako konieczny wniosek z przebiegu akcji. Książka Bobińskiej potrafiła młodzieży zobrazować w sugestywny

nielogo obyczajów, przeciw pogardzaniu kobietami, przeciw prawu nienawiści silniejszemu w aule niż ludzkie pragnienie przyjaźni, zawiera w sobie humanistyczną treść nowej radzieckiej moralności, odgrywa wielką rolę wychowawczą, uczy pasji bojowniczej, odwagi i nieustraszoneści. Ale autorka zgodnie z prawami realizmu nie czyni z Niko cudotwórcę, mogącego na własną rękę zmienić odwieczne obyczaje odciętego od świata górskiego zakątka. Nowe przyszło do Chewsuretti wraz z twórczą ofensywą kulturalną władzy radzieckiej.

Niko, bohater pozytywny Bobińskiej, jest postacią żywą i przekonującą. Zaangażowanie ideologiczne po stronie partii bolszewików, po stronie zdobycy Wielkiej Rewolucji Październikowej przeprowadza autorka w sposób realistyczny, bez zawiłego teoretyzowania i deklaracji. Niko jest wielobojcem Armii Czerwonej, bo wychował się wśród proletariatu, bo jego przybrany ojciec jest jej żołnierzem. Bogaty kupiec Tapanadze jest dla chłopca rzeczywistym wrogiem, bo czyha na śmierć ojca. Przyjaciółmi są ubogi szewc Arcyż, czyszciciel butów, ci wszyscy, którzy razem z nim czekają na jego tatke, żołnierza Armii Czerwonej — bolszewika. Jest to szersza obserwacja procesu kształtowania się świadomości ideowej dziecka. Przyjaciele Niko musi być także Akiela, z którego prawa aulu zrobili śmiercielnego wroga. Jest dzielny, prawy; trzeba go tylko wyzłodzić spod okrutnej władzy „adatu”. Niko zdobywa go ludzkim uczuciem przyjaźni, uczy go zrozumienia piękna wzajemnej pomocy. W książce widać czytelnika, co kiedyś musiało bardzo porwać autorkę: narodzin wielkiej idei przyjaźni między narodami, narodzin nowego świata niszczącego okrutne przeżytki starych praw i nowej urekującej moralności komunizacji. „Zemsta rodu Kabunauri” to powieść, która jest jak dotąd największym osiągnięciem realizmu socjalistycznego w naszej literaturze dla dzieci. Jej ładunek ideologiczny oddziaływał na młodego czytelnika tym silniej, że organicznie związany jest z formą uwielbianą przez młodego czytelnika. Stanowi on wyraz „wielkiej przygody” opartej nie na chorobliwej wyobraźni autorów „dzikiego zachodu”, ale na prawdziwej wierze w Ktaju Rad, na wielkiej, pięknej roli, jaką odgrywa w nim młodzież.

Barbara Tyllicka

*) Helena Bobińska „Zemsta rodu Kabunauri”, „Nasza Księgarnia”, 1951.



Uczniowie szkoły podst. z Zakowoll, pow. Radzyn-Podl. Foto: J. K. Maciejewski

czy H. Boguszewskiej, ograniczanych wymogami cenzury i niedojrzałością ideową twórców. Powieść Bobińskiej wydana po raz pierwszy w Polsce dopiero w roku 1950, kiedy literatura nasza przeszła zasadniczy przełom ideologiczny w kierunku realizmu socjalistycznego.

Akcja powieści toczy się w Gruzji na początku lat 20-tych, w warunkach stworzonych przez Wielką Rewolucję Październikową. Rewolucja przyniosła krajom zakaukaskim niepodległość, ale władzę zagarnęła klika mieśszewików. Walka z bandami białych i interwencja, przenikanie ideologii rewolucyjnej do najbardziej górskich, niedostępnych okolic Kaukazu — to to historyczne powieści. Autorka uogólniła w obrazach powieściowych „to co najistotniejsze” dla wplywu Wielkiej Rewolucji Październikowej na życie wyzwolonych narodów: narodzin internacjonalizmu, przyjaźni między ludami, narodzin nowej komunizacji moralności, która powstała w walce o człowieka. W obronę jego praw do najpełniejszego życia i szczęścia.

sposób wielką, postępową rolę Rewolucji Październikowej w życiu narodów gniebionych niegdyś przez carat i utrzymywanych w zacofaniu i wielkiej ciemności. Stare obyczaje górskiego aulu, barbarzyństwo skostniałego prawa „adatu”, cofać się muszą przed zorganizowaną ofensywą nowego życia, nowych obyczajów człowieka wolnego i twórczego, nową moralnością ugruntowaną na humanitaryzmie, na szacunku dla każdej jednostki ludzkiej. Autorka pionierem walki przeciw „adatom”, przeciw nieudzielnemu prawu zemsty rodowej, uczyniła młodego chewsura Niko Kabunauri, ostatniego z roku wynieszonego przez 150-letnie waleństwo. Niko, wychowany w proletariackiej rodzinie Tyflisu radziecki pionier, znalazłszy się w aule swych przodków, burzy się przeciw barbarzyństwu starych praw, gdy minie pierwsze oświecenie na widok egzotycznej kultury, ryckich obyczajów chewsurów i urekających żyłkę awanturizmu młodego chłopca „praw meczurów”. Gorący bunt Niko przeciw łamaniu człowieka w imię skost-

ANDRZEJ DRAWICZ

POWIEŚĆ O PROSTYM SZCZĘŚCIU



Wojciech Zukrowski

TAK więc otrzymaliśmy jeszcze jedną powieść Wojciecha Zukrowskiego. Zbytecznym jest właściwie mówić o zainteresowaniu, z jakim bierzemy „Córce” do ręki. Nie tylko dlatego, że jest dziełem pisarza o ogromnej skali możliwości twórczych — lecz głównie z tej racji, iż możliwości te były dotychczas wykorzystywane w sposób bardzo różnorodny, często aż zaskakujący. Owo zaskakiwanie mogło zresztą zachodzić tylko w ograniczonym zakresie — rychło bowiem nauczyliśmy się odnajdywać poza różnorodnością tematów i form — skoplikowane oblicze nielatywnej ewolucji ideologicznej pisarza.

Odciska aktualnego, konkretnego etapu tej ewolucji staramy się także poszukiwać i w „Córce”. Sprawa nie jest prosta — a uproszczenia mogą ją najwyżej skomplikować. O pełną charakterystykę możnaby, rzecz jasna, pokusić się tylko w szerszym studium, którego piszący te słowa nie ma zamiaru w tym miejscu podejmować.

Warto natomiast zająć się bliżej „Córce” — i to z tych samych względów, o których mowa była wyżej. Książka jest charakterystyczna, po pierwsze przez zakres tematyki. Zakres ów stwarza — mówiąc najogólniej — sprawy intymne, osobiste zamykające się w kręgu życia rodzinnego. Nie darmo Jan — głowa rodziny, wyposazony w duży stopniu w elementy autobiografii samego autora — zwierza się w pewnym miejscu ze swych planów pisarskich. „Chciałbym taką książkę o prostym szczęściu napisać.”

Taką książką ma być „Córca”. Mała Basia rosnąca pod troskliwym

okiem obojga rodziców, jej odwiedzin w ogrodzie zoologicznym i przyjaźni ze zwierzętami, jej znajomości starsi i młodszy — cały ów zarysowany świat wczesnego dzieciństwa znalazł w Zukrowskim chętnego i wdzierającego obserwatora. W rezultacie z dużą satysfakcją czyta się te pogodne scenki drobnych codziennych radości i smutków — z uznaniem obserwuje się autorską umiejętność stwarzania obrazków lirycznych, ciepłych — a przecież nie czułościowych. Nie tylko, gdy chodzi o małą Basię. Także w wypadku innych obiektów pisarskiego zainteresowania — starego emeryta Ignalki Korowaja, robotniczej rodziny, sąsiadującej z pisarzem — jego znajomych i przyjaciół.

Jest doprawdy coś zniewalającego w pogodnej atmosferze tej beztępnostki powieści. To zwłaszcza w zestawieniu z tak licznymi dotychczas próbami pisania o współczesności pozbawionymi całkowicie lub częściowo tej niezbędnej, szerszej perspektywy widzenia ludzkiego losu — obejmującej również sprawy rodzinne, stosunki towarzyskie i tym podobne.

Ileż razy zainteresowanie pisarza bohaterem kończyło się z chwilą, gdy odszedł on od maszyn, pieca hutniczego czy górniczego „przodka”. U Zukrowskiego zaś wówczas właśnie się ono zaczyna — obejmując jednocześnie i zagadnienia produkcyjne. Bohaterem jest bowiem pisarz — i „męki twórczości” dane jest również czytelnikowi obserwować.

Nie ulega wątpliwości — ten obraz prostego szczęścia nie może być w tym wypadku przyrównany do jakiegosi filisterskiego, familijnego „landszaftu”, jakich nie brak w spuściznie tuzinkowych, drobniomieszczańskich naturalistów. Truizmem byłoby dowodzenie w tym miejscu, że charakter, a zatem i sposób widzenia rzeczy najintymniejszych, najbardziej osobistych jest zawsze determinowany oddziaływaniem praw rozwoju historycznego w okresie, w którym one zachodzą. Mamy zatem słuszne prawo domagania się od współczesnego pisarza, aby tworząc, ujmował problematykę „prostego szczęścia” poprzez perspektywę tego rozwoju, aby dostrzegał jego głębsze, istotniejsze znaczenie.

Zukrowski dostrzega w dużym stopniu — to niezaprzeczony fakt. Szczególne dzieciństwo Maci, której spokojnego snu nie mać niepokój jutra, która czeka bogate, pełne życie w nowym społeczeństwie socjalistycznego kraju, słoneczna starość emeryta Ignalki Korowaja, mającej

go jeszcze wiele do przeżycia — ich losy, tak jak nam je ukazał autor, są możliwe jedynie w takich historycznych warunkach, w jakich żyjemy obecnie. Mniej już przekonująco brzmiałyby rozmowy Jana z żoną Teresą oraz z sąsiadem, majstrem wrocławskiego „Pafawagu” — w których wprowadza autor elementy nawiązywania do spraw ogólnych — walki w obronie pokoju, podniesienia jakości i ilości produkcji. Mimo wszystko, a przede wszystkim na skutek fragmentaryczności tych rozmów pobrzmiewają w nich pewne nutki deklaratoryzmu.

Nie dziwny jest jednak tej niepełności, częściowej zresztą, jaka cechuje krag tematyczny „Córce”. Autor przedziera się bowiem do pełnego zrozumienia rzeczywistości właśnie poprzez powszedniość i codziennosc spraw o których pisze. Wychodzi, jak świadczy o tym cały dotychczasowy jego dorobek, od konkretnej obserwacji owych drobnych faktów rodzinnego, czy towarzyskiego życia — ich kształt, smak, barwa narzucają mu się najpierw. O ile jednak dawny Zukrowski pozostawał najczęściej „Madre ziola” — są tu wyjątkiem! urzeczony kregiem owych obserwacji, bez względu na to, czy miały kształt realny, czy zniekształcał je grymas groteski — o tyle w „Córce” zarówno zasada doboru i układu materiału, jak i komentarz usiłuje odegrać rolę uogólniającą. To wyzwolenie się pisarza z opłotków ciasnej rejestracji faktów, z chłonienia szczegółów, a następnie urzekania ich „dziwnością” — stanowi potwierdzenie postępującej ewolucji jego świadomości. Selekcja faktów, ukazywanie dialektycznych związków pomiędzy nimi, odzwierciedlanie ogólnego poprzez szczegółowe — to przecież znamiona realizmu.

Tak wyglądałby wniosek pozytywny. Zastrzeżenie natomiast brzmi: to jeszcze za mało. Niesposób o przedzielenie wrażeń niedosytu, gdy zamiast oczekiwanych książek mających dla rozwoju pisarza znaczenie przełomowe, zasadnicze — otrzymujemy kilka miłych drobniaków — tak czy inaczej dość marginalnych. Mówi nam o tym nie tyle treść książki — gdyż tematyka rodzinna jest jak najbardziej, jak się już rzekło, uprawniona do zajmowania miejsca w kręgu problematyki współczesnej. I raczej w zbyt małym stopniu wykracza poza granice uprawiania — za mało interesującej — całokształtem życia ludzkiego.

To wszystko prawda. To też trzeba, ale ton naszym narzekaniem poddaje i sam autor w swych bardzo licz-

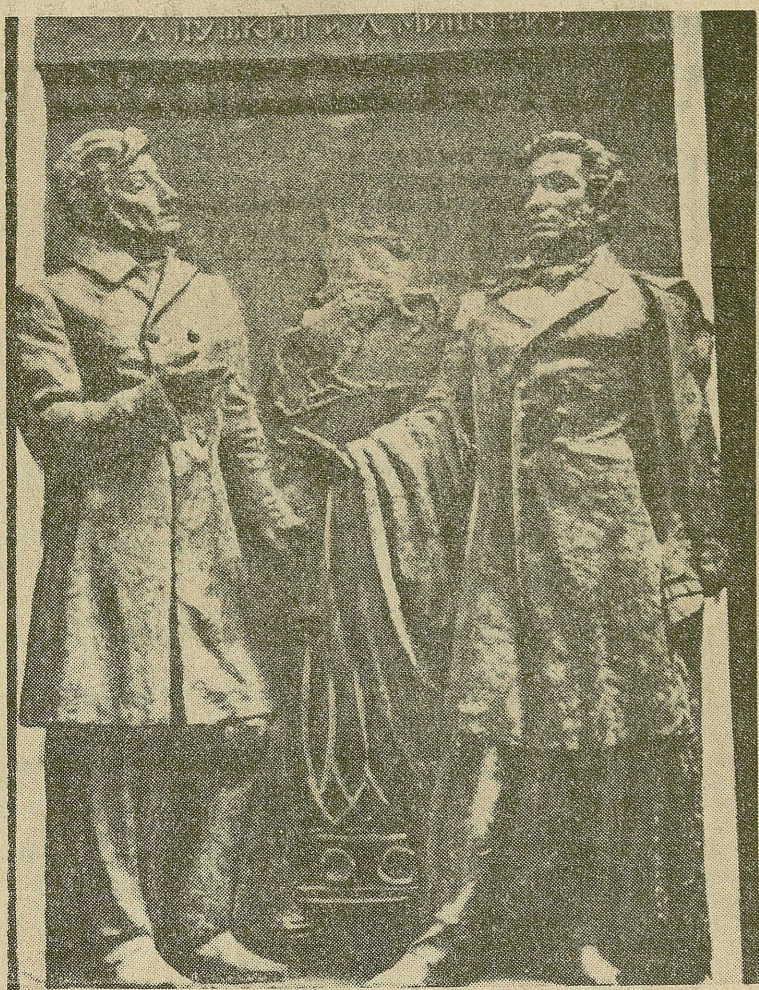
nych, zaledwie zamaskowanych posłania Jana wynurzeniach autobiograficznych. Wynurzenia te należą oczywiście do traktatów z dużymi zastrzeżeniami — wychodząc z założenia, że nie to co sam pisarz o sobie sądzi — lecz to, jak myśli o nim ogół czytelników, jest najistotniejsze i u moich pełną ocenę. W tym jednak wypadku oba sądy pokrywają się. Cóż dostrzegamy, zapuszczając ciekawe spojrzenie w głąb pisarskiej „kuchni”? Biedaka szturmuje ustawicznie fale doznań, wrażeń, obserwacji domagające się odbicia w literackim kształcie. Bieda z tym, że nie można przecież pisać o wszystkim — a wszystkie sprawy wydają się jednakowo ważne. Toteż bywa i tak, że Teresa zastanie męża po kilkunastu godzinach ślepienia nad pustą, niezapisaną kartką, gdyż nie mógł on się zdecydować, jak dać wyraz swym swoistym ciągłom do „wszystkoistom”. Kiedy indziej zaś pisał z rozbrajającą szczerością: „Męczy mnie nadmiar świata”.

Cheśmy zachować niezbędną dyskrekcję, a ponadto nie brać dosłownie za wyznaczenie samego autora tego wszystkiego, co przypisał Janowi. Ale przecież niesposób oprzeć się wrażeniu, że właśnie „Córca” jest w pewnym sensie upustem dla kregu doświadczeń i obserwacji wychowanych z codziennego życia domowego pisarza, z jego współżycia z najbliższymi, z codziennych radości i smutków. Sprawa wrażenia garści efektownych dla oka odkrywków, powstałych podczas pracownego, morderczego wykonywania wielkiego cokołu. Są to odkryski choćby przez samą formę krótkich opowiadań, osnutych na ile jakiegosi zdarzenia, czy spotkania z ludźmi lub zwierzętami, przez migawkowość i szkieletowość ich ujęcia. Stąd książka jest mimo wszystko czytelna i satysfakcyjna, jakie daje w czytaniu — marginesem.

Taki jest skomplikowany charakter tej na pozór prostej książki. Zmusza bowiem nie tylko do jeszcze jednego zastanowienia nad ogólnym charakterem twórczości autora — co jest nieuchronne przy pisaniu każdej recenzji. Nasuwa ponadto spostrzeżenia odnoszące się do potraktowania przezeń dość specyficznego działu tematyki.

A wnioski na przyszłość? I te również formułują się nieodparcie. Chcemy dalszych pozycji, gdzie „nadmiar świata” ulegnie ograniczeniu do spraw pierwszorzędnych, najistotniejszych. Chcemy dalszych doświadczeń w sprawie ewolucji autora. Czekamy na „Dni kłeski”.

Andrzej Drawicz



TRADYCJA PRZYJAŹNI POLSKO-RADZIECKIEJ

MICKIEWICZ I PUSZKIN

DWAJ najwięksi poeci Polski i Rosji poznali się ze sobą na jesieni 1826 roku w Moskwie. Moskwa przyjęła Mickiewicza entuzjastycznie — opromieniała go sławą wygnanego i męczennika za sprawę wyzwolenia, a nado poprzedzała fama młodego, ale już sławnego poety.

Mickiewicz trafił w Moskwie do środowiska literackiego, ugodzonego boleśnie każdą nad dekabrystami, ale nie złamanego na duchu. Idee wyzwolenicze nurtowały dalej literaturę rosyjską, szczególnie twórczość największego jej przedstawiciela, Puszkina, wokół którego skupiało się grono wybitnych literatów moskiewskich jak bracia Polewojow, Kirejewski, Piotr Wiazemski, bibliofil i bibliograf Sergiusz Sobolewski, poeta Boratyński, protektorka sztuki księżna Zinaida Wolkońska i inni. Bawił w Petersburgu krótko do 24 stycznia 1825 roku, ale zdążył nawiązać potrzebne i interesujące go stosunki. Wraz z Polakami Malewskim i Jeżewskim obracał się w kole pisarzy związanych ze spiskiem dekabrystów, zbliżył się do Rylejewa.

Kontakty z dekabrystami utkwity na długo w pamięci autora późniejszego wiersza „Do przyjaciół Moskali”. W wykładach paryskich w r. 1842 poeta dał charakterystykę poznanej środowiska: „Dwa były ogniska sprzyświeżenia: jedno w Petersburgu, drugie w Rosji południowej, kiedy zawiązywały się stosunki z Polską. Prowadzono rzecz otwarcie i, co na zawsze pozostanie pamiętnym, to uczciwość wszystkich spiskowców. Przeszło pięćset osób różnego pochodzenia, różnych stopni należało czynnie do zmywu, trwającej lat dziesięć, pod rządem czynnym i podejrzyliwym, a nikt jej nie wydał. W Petersburgu wielu oficerów i urzędników zgromadziło się w mieszkaniach od ulicy, radzono przy otwartych oknach, a nigdy policja nie dowiedziała się o przedmiocie tych schadze: opinia publiczna była mocniejsza od postrachów rządowych.”

Do przedstawicieli postępowej kultury rosyjskiej Mickiewicz zbliżył się jako „swój człowiek”, rozeznanym w zagadnieniach literatury rosyjskiej, bliski podjętej walki o wolność. Puszkini urocił walcę z zestawiając ze wsi Michałowsko. Spotkanie między nimi nastąpiło w mieszkaniu Sobolewskiego. Tu miało odbyć się pierwsze czytanie „Borysa Godunowa”. Zaproszono Mickiewicza. Współcześni dają żywe świadectwo wielkemu wrażeń, jakie wywarła na zebraniach i na Mickiewiczu lektura „Borysa Godunowa”.

Spotkanie dwu wieszczów zapoczątkowało wielką, głęboką przyjaźń. W kilka miesięcy po zawarciu znajomości Mickiewicz pisał o Puszkinie w liście do Odyńca: „Obszerniej kiedyś o nim napiszę; teraz tylko dodam, że go znam i często się widujemy. Puszkini prawie mojego wieku (dwoma miesiącami młodziej), w rozmowie bardzo dowcipny i porywający; czytał wiele i dobrze zna literaturę nowożytną; o poezji ma czyste i wzniosłe pojęcia, napisał teraz tragedię „Borys Godunow”, znam jej scen kilka w rodzaju historycznym, dobrze pomyślane i szczegółowo piękne.”

W kwietniu 1828 r. na cześć Mickiewicza, wyjeżdżającego do Petersburga, postępową Moskwą literacka wydała ucztę pożegnalną, na której wręczono poecie puhar z wrytymi nazwiskami rosyjskich przyjaciół. Kirejewski i Boratyński przemawiali do Mickiewicza wierszem. Wspomnienie tej chwili (aluzja do puharu) z czasem odezwie się w słynnym wierszu „Do przyjaciół Moskali”.

W Petersburgu między Mickiewiczem a Puszkinem trwała dalsza

gorąca przyjaźń. Charakter jej uwiecznił utwór polskiego poety pt. „Pomnik Piotra Wielkiego”.

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńcy, pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce: Jeden, ów pielgrzym, przybył z zachodu, Nieznana carskiej ofiarze przemocy; Drugi był wieszczem ruskiego narodu, Sławny pieśniami na całej północy.

27 maja 1829 roku Mickiewicz opuścił Rosję. Puszkini był wtedy na Kaukazu. Nie zobaczyli się więcej. Ale zostali się z myślą o sobie: Mickiewicz wyjeżdżał z przesyłanym mu przez autora egzemplarzem puszkiniowskiej „Poltawy”; w bibliotece Puszkina przechował się tom poezji Byrona z własnoręczną dedykacją Mickiewicza „Byrona Puszkiniowi poświęca wielbiciel obydwóch A. M.”

Przyjaźń tak wielką i wzniosłą pozostawiła trwałe ślady w twórczości obydwu wieszczów. Za radą Mickiewicza Puszkini usunął jedną scenę z „Borysa Godunowa”. Już w grudniu 1827 r. uprosił z rękopisu tłumaczył wstęp do „Konrada Wallenroda”. W sześć lat później przełożył „Czaty” i „Trzech Budrysów”. Mickiewicz przetłumaczył w r. 1828 „Przypomnienie” Puszkina. Powstanie listopadowe stanowiło ogniową próbę dla przyjaźni obydwu wieszczów. Lecz Mickiewicz w „Pomniku Piotra Wielkiego” sam stwierdził:

„Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody”.

W III cz. „Dziadów” Mickiewicz zaakcentował rozróżnienie między Rosją caratą a Rosją dekabrystów, między reżymem a narodem. Carat i zdradcy wolności potępiał w gniewnych słowach, piętnował i chłostał, a w „Ustępie” III części „Dziadów” zdobył się na najwyższy hołd dla skazanych dekabrystów. W wierszu pt. „Do przyjaciół Moskali” potwierdzał swą przyjaźń:

Wy, czy mnie wspominać? ja, ilekroć marzę

O mych przyjaciół śmierciach, cudzoziemskie twarze

Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Wiersz „Do przyjaciół Moskali” wywołał piękny odzew — utwór puszkiniowski pt. „Mickiewicz”.

„Był tu wśród nas Pośród obcego mu plemienia.

W duszy Nie żył dla nas nienawistny. Myśmy

Też go kochali, Cichy, dobrośliwy

Był uczestnikiem biesiad naszych. Z nim

Dzielił się się i marzeniem czystym

I pieśnią. „Często

Mówił o przyszłych czasach, gdy narody

Zapomną wasni — i w rodzinę wielką

Polączą się. Stuchaliśmy poety Z aparytym tchem.

Wspomnienie Puszkina najgłębiej ujęło i określiło treść rozmów Mickiewicza z przodującymi przedstawicielami postępowej Rosji pierwszej połowy XIX wieku. Marzenie o przyszłych czasach, „gdy narody zapomną wasni i w rodzinę wielką polączą się” od tej chwili coraz silniej przyswiewać zaczęło wspólnemu wyzwolenicemu ruchowi Polski i Rosji. Przyjaźń dwu wielkich wieszczów stanowiła drogowskaz i testament.

„Ale dopiero późniejsza rewolucyjna pokolenia, dopiero Rewolucja Październikowa zrealizowała w pełni idee szlachetnego braterstwa i przyjaźni dwóch narodów.”

Grzegorz Timofiejew

WOJCIECH DRYGAS

UWAGA—CHLESTAKOW!

NIE masz lektury bardziej pasjonującej i trzymającej czytelnika w napięciu od stronicy pierwszej do ostatniej, niż pełen pasji demaskatorskiej gogolowski „Rewizor”. Od momentu, kiedy utwor pod tym tytułem zawdrował do biblioteki w Woli Pyszkowskiej, sekretarz Prezydium GRN Romuald Miecznik kładł się spać już o zmierzchu i do późnych godzin nocnych, opatulony japońskim szlafrokiem swojej polowy, drżał o śliską przyszłość horodniczego.

Choć na drugi dzień niewyspany i poziewiający, jaśniejszym jednak okiem ocenił ważność swych obowiązków i całą kancelarię, że siedzi jak malowana.

Ten Gogol to tepek... Ho, ho... Jest taka książka, w której opisał on jednego horodniczego. To taka funkcja, wiecie, starościnśka, albo trochę niżej. Ten horodniczy otrzymał zawiadomienie ściśle poufne, że do jego powiatu przyjeżdża rewizor, czyli taki nasz inspektor ze szczebla wojewódzkiego. Nie potrzebuję wam mówić, moi kochani, że horodniczy bardzo się z wiadomością przejął. Bo kogo nie przejmują czynnik z województwa? Kogo? Tak jakby ci coś u dentysty oddech zapierało, o tutaj, w samym środku... Zresztą co tam dentysta. Znam jednego Buksiolowicza z Rawy Mazowieckiej, ten rwie zębami, że w uszach trzeszczy. A mimo to woleje jego bormaszynę i fotel z pompką, niż inspekcję, zwłaszcza że po linii skarg i zażaleń. A co do tego rewizora, to jeszcze nie wiem dokładnie po jakiej linii miał on straszny horodniczego, bom nie doczytałem pierwszego aktu...

— A tego Gogola to czytajcie. Bardzo pouczająca, że tak powiem, lektura dla szerokiego mas pracownikom umysłowych. Bardzo...

Nie dotarł jednak miłośnik gogolowskiego plóra do połowy trzeciego aktu komedii, gdy rogałki Woił Byczkowski przekroczyła osobistość kurek w kubek podobna do przeżywanego rewizora — Chlesta-kowa. Ta tajemnicza — jak pod wpływem lektury wydawało się sekretarzowi — i dziwna figura, był niejaki Mandatowiczyski, przesiadłszy z powiatu do gminy. Ze względu na nieobecność przewodniczącego GRN, który odpoczywał na wczasach i jego zastępcę, przebywającego na jakimś kursie, obowiązek przyjęcia nowego pracownika przypadł w udziale sekretarzowi Miecznikowi.

Po raz dziesiąty brał więc do ręki urzędowo sformułowane pismo, w którym władze zwierzchnie donosiły, że czują się w obowiązku przesłać ob. Mandatowiczyskiego na szczebel gminny, jako bardziej odpowiedzialnego i kwalifikującego, i że dane personalne o jego osobie, jako też pewne sugestie dotyczące grupy uposażeniowej, przesłał w terminie późniejszym. Skape w szczególności pismo kończyło się taką oto uwagą: „Zaleca się użyć w/wym. do likwidowania wąskich gardel na odcinkach wskazanych mu przez Was”.

Stercząc wiecznie za plecami sekretarza starszy wiekiem i urzędem referent z komisji kulturalno-oświatowej poglądził się niespokojnie po gardle, a w głowie zaświtało mu strzeliszcze: „Zakonspirowany inspektor ze szczebla wojewódzkiego!” Donniemanie to, wypowiedziane szeptem, nie tylko że nie nabawiło jego zwierzchnika bólu głowy, ale owszem, rozjaśniło czoło.

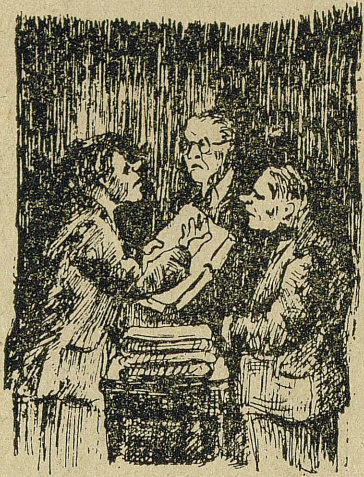
Tego jeszcze dnia nowy pracownik, wokół którego tworzono już legendę, rozpoczął swoje urzędowanie. Niezaspokojona ciekawość trapiła referentów, podsekretarzy i maszynistów. Czemu taki sekret? Co to za papier pokazał sekretarzowi? I dlaczego obywatel starszy referent złażał się za gardło? Oprócz tych, mnóstwo innych przedstawiało się zżędkale, które nie dawały się rozwiązać na poczekaniu.

Na drugi dzień obudzili się w siedzibie GRN na nowo języki i jakieś niewyraźne światło padło na tę ciemną historię. Pierwsza na pewien ślad, tak cieniutki jak niteczka, wpadła maszynistka.

— Mam! — zawołała wielkim głosem. — Czy nie mówi wam nic to opowiadanie naszego starego o rewizorze? Już ja go znam. Sklecił na poczekaniu bajeczkę, żeby nas dyskretnie uprzedzić o przybyciu inspektora. A wyście myśleli, że to tylko takie literackie gadanie i okna otwieraliście. Świeżego powietrza wam się zachciewało. No, teraz poczujecie to świeże powietrze...

W tym samym czasie sekretarz Miecznik komponował szafistny list do przewodniczącego, przebywającego na wczasach w Kudowie. Z listu, utrzymanym w tonie dowcipnym, przebiegała jednak głęboka troska o sprawne funkcjonowanie aparatu administracyjnego gminy.

„...i zawiadamiam Was, drogi Kolego, że po odbytej naradzie z naszym nowym nabytkiem w postaci ob. Mandatowiczyskiego, postanowiłem przy jego cennej współpracy zlikwidować niektóre wąskie gardla w kancelarii. Ob. M. — jak sam powiada — jest podobno specjalistą od reorganizacji. Już sama jego obecność w gminie wpływa mobilizująco na pracowników, tak



Rys. Bimali Horska

jakby duch jakiegoś rewizora na nich spłynął i czuwał przy biurkach. Wiecie, już jestem przy czwartym akcie i dziękuję Wam, żeście mi przeczytanie tej książki polecili. Na dzisiaj kończę i ściskam dłoń etc. etc.”

Takim sposobem ob. Mandatowiczyski przystąpił niezwłocznie do urzeczywistniania swych racjonalizatorskich usprawnień w dziedzinie gospodarki publicznej. Będąc autorem niepublikowanej nigdzie rozprawy p.t.: „Uwagi o przelotowości spraw w maszynach niektórych urzędów i instytucji” — posiadał w tym względzie olbrzymie przygotowanie teoretyczne. Wszelkie jego zabiegi szły w kierunku ustalenia prawidłowej drogi dla nadchodzących i wychodzących z GRN pism, tak aby krążyły one na podobieństwo słońca zawsze jednym i tym samym torem. Wyznaczona dla pamięci kredą elipsa, wybiegająca łukiem spod krzesła woźnego, przekreśliła wszystkie biurka i stoliki odpowiednie rozmieszczonych pracowników. Czynności słońca w elipsie racjonalizator przyznał sekretarzowi Miecznikowi. Miał on krążyć bez przerwy dookoła kancelarii, podpisując co potrzeba, kontrolować i dodawać otuchy. Przysposobiwszy w ten sposób pracowników do zrationalizowanego systemu urzędowania, ob. Mandatowiczyski kłasnął w dłoń i zarządził:

— Zaczynamy! Woźny puścił w ruch pierwsze pismo — przyjął je wydział gospodarki komunalnej, przetrzucił do zdrowia, zdrowie podał oświacie, oświacie — komunikacji, komunikacji — handlowi, handel — skar-gom i zażaleniom, zażalenia pome-dywały trochę, lecz ostrzeżenie krokami zbliżającego się słońca, zdeteminowanym wyrzutem odbiły w stronę rolnictwa, rolnictwo trafiło celnie w... woźnego.

— Już załatwione? — zdziwiło się słońce. — Jeszcze nie! — odparł woźny. — To jest pismo zaadresowane do was, obywatelu sekretarzu, a wy przecież nie stoicie na linii, tylko kręcicie się jak jaki kot w pośrodku...

— Nie mówi się na linii, tylko w elipsie — pośpieszył z wyjaśnieniami ob. Mandatowiczyski. — A co do pisma, to właściwie je do segregatora. W moim systemie nie ma niespodzianek, wszystko ma swój ustalony bieg... — a zwracając się do sekretarza dodał: — Musicie mimo wszystko znaleźć na swoje miejsce zastępcę i postawić go na torze, w przeciwnym razie woźny stworzy nam wąskie gardło...

— Nie ma etatu... — jęknął sekretarz, lecz spiorunowany wzrokiem ob. Mandatowiczyskiego poprawił się: — Zajmijcie w takim razie moje miejsce...

Szukając uciełszy dla roztrzęsionych nerwów, sekretarz Miecznik zanurzył się wieczorem w szlafrok i sięgnął po swojego „Rewizora”. Dokończył czwartego aktu i rozpoczął piąty. Przerażający obraz rozkładu moralności publicznej w prowincjonalnym miasteczku carskim, wstrząsnął nim do głębi. Ludzie tej komedii, pisanej przecież przeszło sto lat temu, równie żywi jak u sprzedawców wzbudzały u sekretarza uczucia: przestachu, śmiechu i oburzenia. W obolałych jego skroniach tętnił niepokojąco głos sumienia społecznego.

Świtało już za oknem, kiedy zerwał się z łóżka, odłożył książkę i zaczął się szybko ubierać.

— O nic nie pyta! — oświadczył krótko rozespianej żonie. — Śniadanie zjem później... Muszę uprzedzić tego Chlesta-kowa...

Za chwilę ze wszystkich okien kancelarii GRN wylało się na drogę szeroką strugą światła. Miecznik szperał w papierach, które skierowane onegdaj do niego — utopił w segregatorze woźny. — Wszystko załatwiał na bieżąco, wszystko osobiście dopilnować, wszystko osobiście dopilnować bo ten młynyk może porządnie reorganizacja pracy, a może — pułapka. Już się wkroczył na zastępcę i już część papierów wyminała sekretarza „po elipsie”. Być czujnym, uprzedzać, dopilnować!... Z tym niezłomnym postanowieniem sięgnął po pierwszy z wierzchu dokument. Była to opinia o ob. Mandatowiczyskim, wystawiona przez województwo i powiat i przesłana z opóźnieniem do gminy.

Władze zwierzchnie z wysokości piedestału wojewódzkiego informo-

MIROSLAWA LOJEWSKA

Po książkę radziecką...

BADAJĄCEGO stan czytelnictwa wsi polskiej z miejsca uderza charakterystyczny fakt: oto książka radziecka szybciej i wcześniej zdobyła sobie serca chłopskich czytelników niż nawet nasza współczesna literatura.

Po radziecką książkę sięga młodzież zorganizowana i chodząca jeszcze luzem. Ostrowski, Fadiejew, Kassil, Katajew należą do ulubionych jej pisarzy.

Raduje szczególnie przy tym to, że za radziecką książkę chwytają coraz częściej i starsi chłopcy.

Starzy chłopcy mają najpełniejszą skalę porównania nowych lat z dawnymi, ich życie jak klamrą spina kilka epok i to — między innymi — różni starych od młodych. W płaszczyźnie trudnego i ciężkiego życia mało czy średniorolnego chłopca odnajdziemy bogaty materiał ilustrujący fazy rozwoju kapitalizmu w Polsce. Dobiegający 60 lat życia podkarpaccy chłopcy opowie pod wpływem lektury zarówno o wyjazdach „za chlebem” w zamorskie kraje jak i międzywojennych latach, kiedy wieś znalazła się w strasliwym „gettcie chłopskim”, z którego nie było wyjścia.

Kobiety wiejskie często wymieniają wśród przeczytanych książek „Matkę”. Czytając słowa Pawła zwrócone do matki: — „Masz 40 lat — a czyż ty żyła?”... popadają w zadumę nad swoją własną przeszłością i, co więcej, natychmiast rozganianiają zle lata swojego życia od dobrych, całą siłą solidaryzując się z bohaterką walczącą o lepsze jutro.

„W książce „Matka” dużą rolę odegrała sama matka. Postać ta bardzo mi się podobała, a jako jestem też matką, to ją dobrze rozumiem. Wiedziała ona, że za taką pracę czeka ją duża kara, a nawet śmierć, mimo to nie przestawała ona synowi pomagać i prowadzić prac wrogich dla rządu carskiego. Kiedy jej syn znalazł się w więzieniu nie przestawała ona pracować i przeżywała nieszczęście syna tragicznie, lecz spokojnie, żywiąc nadzieję, że zwycięży proletariatus, a wtedy syn znajdzie się na wolności. I dlatego, że by go mogła kochać jak matkę, musiała walczyć jak rewolucjonistka”.

W tysiącach wypowiedzi chłopskich o książkach nierzadko zdarza się takie rozumienie matczynej miłości do syna, jak u cytowanej 50-letniej chłopki spod Żywca. Starzy wyrzuceni z ziemi przez dorastające pokolenia, „puszczalni z torbami na dziady”, krwawe spory rodzeństwa przy podziale morgów — te własne boleśnie wspomnienia wyzwoliła „Matka”. Nie wiele pisze o sobie starsza już gospodyni wiejska. Musiała jednak przeciw dodać, że jej duma — syn, buduje Nowe Tychy, a córka będzie nauczycielką. A sama? Jest aktywistką koła Gospodyń Wiejskich.

Jest coś wzruszającego w wypowiedzi 55-letniego chłopca Łoła Piotra (Krakowskie) na temat „Kawaler Złotej Gwiazdy”.

„Utwór „Kawaler Złotej Gwiazdy” to książka, z której można zaczerpnąć wiele doświadczenia i przykłądy dla podniesienia produkcji w Planie 6-letnim. Musimy przekształcić naszą gospodarkę rolną, aby skończyła na zausze z wyżyskiem wiejskim i kumoterstwie. Trzeba nam — jak to opisuje Babajewski — spółdzielni produkcyjnych. Opisuje nam trudności, osiągnięcia i niedociągnięcia kolchozów radzieckich”.

Pomyśleliśmy tylko — starszy już chłop z „galicyjskiej” niedarskiej wsi, matorolny, którego życie szczególnie musiało być ciężkie, skoro wspomina, że połowę życia szukał „gdzieby coś dorobić”. A teraz jakby się raz jeszcze narodził, wybiega w przyszłość, agituje wyraźnie po wsi za socjalistyczną gospodarką. Takiego „cudu” może dokonać książka, która mówi prawdę, w którą się bez zastrzeżeń wierzy.

Starszy czytelnik nie wstrząsa się radziecką lekturą bezprzemiotowo, nie zbywając nas oświadczeniami, że książka „dała im wiele”, poruszyła

wali: „... w/wym, cierpi na przestępstwo, z tych więc względów należy otoczyć go życzliwą opieką. W żadnym wypadku nie powierzaj mu funkcji, które resor-towo wiążą się bezpośrednio ze sprawowaniem czynności organizacyjnych. Fantasta. Na nadzieję się do pracy na szczeblu wojewódzkim. Za powstałe z winy w/wym. szkody organa wojewódzkie czynią odpowiedzialnym Ministerstwo, które przesłało z opóźnieniem swoją opinię”.

A u dołu odręczny dopisek: „Przekazać w/wym. w trybie przyspieszonym do powiatu”.

Opinia powiatu brzmiała wyjątkowo powściągliwie:

„Po smutnych doświadczeniach na naszym szczeblu kierujemy w/wym. do gminy Wola Byczkowska, jako najdalej wysuniętej w powiecie. Za powstałe szkody czynimy odpowiedzialnym województwo, które przesłało nam z opóźnieniem opinię o w/wym.”

Sekretarz Miecznik zastanowił się przez chwilę, by zamasył pismem dorzucić u spodu: „Ureutował nas od zagłady Gogol. Zadnych szkód. Zdekonspirowanego Chlesta-kowa przdekonspirowało do gromady”.

Wojciech Drygas

do głębi”, lecz jasno i wyraźnie przenoszą doznawane wrażenia na konkretny język osobistych i gromadzkich planów, zmierzających do ulepszenia życia.

Oto wypowiedź Anieli Zienkiewicz z powiatu gryfickiego: „Po przeczytaniu pięciu książek radzieckich zastanowiłam się co zrobić, żeby lepiej było w naszej gromadzie. Wy-snułam takie wnioski: 1. Zająć się dziećmi, aby kobiety mogły spokojnie pracować w polu, bo i sama gdy idę do buraków biorę ze sobą dziecko w pole. 2. Zwiększyć hodowlę bydła i trzody chlewnej. 3. Zająć się zespółowo kopaniem torfu. 4. Częściej zbierać się w świetlicę, czytać książki i gazety i omawiać różne zagadnienia gospodarcze i polityczne. 5. Członkinie Koła Gospodyń Wiejskich powinny przodować w pracach na roli i w życiu społecznym”.

Wielu starszych chłopów zabiera się energicznie do podniesienia produkcji pod wpływem radzieckiej książki.

Zdumiewa jednak i raduje równocześnie fakt, że posiwiali już ojcowie i matki z rozmaitych wsi, z różnych stron kraju chwytały — trudny zda się — humanistyczny sens radzieckiej literatury. Obok spraw gospodarczych czytamy chłopów piszących o moralności socjalistycznej, czy socjalistycznym wychowaniu.

Stuszczaka Stefana z Miechowskiego uderzyła w książce Azajewa „Daleko od Moskwy” wytrwałość radzieckiego człowieka, zalety jego charakteru. „Z tej książki — pisze — można brać przykład do czego może doprowadzić wytrwałość i bohaterki przykład w pracy. Mimo, że wszędzie znajdują się mal-kontenci, wytrwałością i odwagą przetrzymać się trudności”.

W dalekim PGR-ze Sławianów (pow. Złotów) robotnica rolna H. Klinger przeczytała Makarenkę „Wychowanie w rodzinie”. „Książka ta powinna być przeczytana przez starszych i młodszych ojców i matek wiejskie, a nawet przerabiana na specjalnych kursach, bo u nas ludzie nie umieją zgodnie z nauką wychowywać pokoleń”. Czytający chłop wychodzi daleko poza sprawy rolnicze, poza walkę o wyższą wydajność z hektara. Kiedy pisze o spółdzielni produkcyjnej, nowej bazie, myśli równocześnie i o nadbudowie — instytucjach i formach wychowania nowego człowieka.

Miroslawa Lojewska

Gazetka gminna

Budowali drogę...

Takiej techniki budowy dróg jak u nas w Mirosławicach Dolnych (woj. Zielona Góra) nigdzie jeszcze nie zastosowali.

Po pierwszych jesiennych deszczach roznożka nam ta droga przez wieś tak dalece, że kto chciał wygłądać jak człowiek, nie wychodził wieczorem z domu. Wyjątek stanowił nasz sołtys, który przeszedł szeszeńświe coś ze 100 m, się dalej skręcił nogę. Noga sołtysa spowodowała, że wielkie dziury wyłożono okiagłakami. I to zaraż na drugi dzień. I co z tego, kiedy deszcz padał, padał a drzewo, jak jedni mówią, spłynęło z wodą, czy też zniknęło, jak powiadają inni.

W sprawie naszej drogi byłoby cicho, gdyby nie to, że mamy radnych. Oto jeden z nich, wracając „do domu” w dobrym humorze, usiadł nad sporym dolkiem, a radny, jak sami wiecie, skoro tylko usiadł to pomyśli, że jest na posiedzeniu i natychmiast zasypia. Zmógł tedy bledaczek, przebiegł się, ale też posnął napróżno technikę reperacji drogi.

Trza tu coś takiego, czego ludzie nie zaborą. No i nasypani piasku. Lecz deszcz padał dalej, popłynął piasek z wodą.

I znowu zamilkłoby o naszej drodze gminne kroniki, gdyby nie to, że podczas białej — dnia zasnęli się i wpadli w kalużę sam pan technik drogowy. Zaraz nawieziono gliny i zaczęło się nowe nieszczęście. Ludzie gubili buty i nie kłademu dawało się odnieść, nie widać już własny, bodaj tylko pasujący. Po tygodniu można było spać u nas takich, co na jednej nodze nosili poibuty, na drugiej zaś oficerek.

I tak pozostało, mimo tego, że nieczym

Cztery ucielenia pana magazyniera

kojeni skurczami żołądka, ani się spotrządzić, że za oknami ciemno. A jak zjedzie dajmy na to — 40 chłopów? No to sami sobie winni.

Godzi się jednak zauważyć, że ob. Siwy nie zawsze występuje jako wcielony w kasjer. Zależy to od ob. prezesa Biskowskiego, który da pieniądze, albo nie da. A to znowu od tego zależy, czy się upiye czy nie. To znowu zależy od pogody. Orientując się zatem według niej, należy raczej zwozić ziemniaki w dni słoneczne, gdyż w deszczowe ob. prezes zwalcza melancholię, jaka go opada. Ludzie nazywają tę walkę zalewaniem robaka smutku.

Jakże więc roztrzygnąć problem, skoro praktyka poucza, że ob. Siwy może występować w kilku wcieleniach? Myślimy tak: owszem, może, ale nie powinien. Lecz jak o tym przekonaliśmy? Zgustochowiel?

Zaproponujemy chyba, żeby członkowie zarządu spróbowali w deszczowe dni odstawić ziemniaki w magazynie u Siwego. Sami osiwieli, albo zma-drzeją.

Poznałście stosowane u nas metody reperacji dróg, ale jesteśmy przekonani, że u siebie ich nie zastosujecie.

Piotr Pigwa.

Awanse... sąsiedzkie

„Nie ma to, jak sąsiedzi — oni zawsze człowiekowi pomogą” — mawiał Aleksander Petrykajus w naszej gromadzie Krepin (powiat Sulęcin).

A jakież to pomocy — zapytacie — i od jakich sąsiadów doświadczył ów Petrykajus?

Ow. Petrykajus przybył do naszej gromady „na osiedlenie” pierwszy. Na-sciagał pod swój dach co się dało i skąd się dało: stąd szafę, stamtąd krowę czy konia, skądś wóz. Szykował dostanie gospodarstwo... Potem najął 2-ach parobków, którzy na niego pracowali za 500 zł(1) miesięcznie (na starą wautę). Sam zaś dał się poznać jako urazocusz i łulak, skłonił do pijatyk z sąsiadami. Z sąsiadami — tno nie z „parciakami przez międzę, zakopanymi w gnoju” — jak powiadał. On miał przyjechać w gminie, buł nawet ze powiecie. Byli wówczas tacy „lepszy” w gminie i w powiecie.

A kiedy uciekli jeden parobek i „zakroczowały się szeszeńśka” na szerokim świecie, pocinął się z sobą drugiego, do pracy na gospodarstwie pozostał sam Petrykajus. „Naucz go wreszcie bieda ucielenie pracować” — powiadał we wsi, ale Petrykajus odpowiadał: „temu bieda, kto piazę...” i patrzył „prze-daje konia, wóz, krowę. Na polach wyrosły chwasty, gromada zmuszona była napiętnować go ręką niewywiązywa-nie się z obowiązków wobec państwa.

Zaniepokoił się Petrykajusowi sąsie-dzi — ci „lepszy” z gminy — ale nie ugarani, tno, rychłym końcem, który zapowiadał się Petrykajusowi, toteż pomogli mu gładko, bez hałasu, zrzec się gospodarstwa. ściślej mówiąc, ugorów, bo była to ruina.

Poszukiwano mu posady. Osiadł teraz „na państwowym chlebie” — jako skle-powy w Kremeninie. Nie zawiódł „za-ufania” sąsiadów, ale dlatego też szybko tym razem wyleciał z posady. Re-nant ujawnił niedobór podrzeczia ty-siąca złotych. Nie to jednak było „za-sługa” Petrykajusa: on przecież zrzęca-nie kierował hurt zaopatrzania w opłotki „sąsiadów”, głośno narzekając na braki, zrzęcał grubość z owego „świe-żego grosza” spółdzielczego na sąsiedzkie piatyki.

Wzrosła więc jego sława u „sąsiadów” i co za tym idzie, sąsiedzkie poparcie. Tym razem niefrasobliwym ryzykaniem zainteresowali się już „sąsiedzi” z po-wiatu — stateczni kombinatory. Znaleźli że Petrykajus należał kiedyś do ZSL-u, odszukano więc legitymację, dolepiłono (blahohat) za dwadzieścia parę miesię-cy znaczków i jako „ZSL-owskiemu akty-wiście” zaczęto go „jednomyslnie” loko-wać na stołu gminnego prezesa ZSCh, zarówno przy pomocy „dołów” — są-siadów z gminy jak i „góry” — z po-wiatu.

Szybko jednak, o wiele szybciej, niżby sobie tego życzyli sąsiedzi Petrykajusa — u których na służbie pozostawał — zakończyła się jego rola.

Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.

„Inni sąsiedzi — ci przez międzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji, i o tym, że ośdak Petrykajus zasiadł w GŚ-ie niewdziadna reka steruje na-wozami szlucznymi do petrykajusowy.